№ 12. Warszawa, dnia 6 (18) Marca 1876 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Miłość chrześcijańska.*)

Jak barwna oaza na piasku jałowym,
Jak rosa w wydm skwarze, jak światło wśród cieni,
Tak miłość chrześcijańska w przesycie wiekowym,
Przeczystym pryzmatem cnót jasnych promieni.
Wśród murów Warszawy jest dziewic cnych grono,
Co wirem czczych uciech nie rządzi się marnem,
Co nigdy za złudą nie goni szaloną,
Lecz czerpie rozkosze w cnót źródle ofiarnem;

Swą pracę z uczuciem litości kojarzy,
I trudem rąk własnych obdziela nędzarzy.

Gdy mara cynizmu o oku zagasłem,
W koleje żywota zmysłowy szał wprzęga,
W tem kole dziewiczem jedynem jest hasłem,
Chrześciańskiej miłości bezmierna potęga.
Nie starcie przeszłości stu zgasłych pokoleń,
Co w sztukę szermierstwa wdzięk zmienia niewieści,
Nie chętka błyszczenia, nie żądza wyzwoleń,
W ukrytych zasługach pracownic się mieści:

Lecz serca uczucia, lecz duszy zalety,
Są dźwignią jedyną wyższości kobiety.

Niechże więc te z dziewic co pragną wyjść z cieśni
Rutyny zdrobniałej, bezbarwnej i mglistej
I strząsnąć z bark swoich wiekowej pył pleśni,
W otarciu łez bliźnich skarb czerpią przeczysty.
Niech gardzą teoryą przewrotu zuchwałą,
Pragnącą im odjąć wdzięk rzewnej prostoty,
I błotem obrzucić sukienkę ich białą,
I w sercach zagasić rodzinnej blask cnoty;

Niech miasto za złudą omamień gnać marną,
Pod skrzydła chrześcijańskiej miłości się garną!

Ludwik Niemojowski.

*) Powodem do skreślenia powyższego wiersza jest następujący fakt. Grono zacnych a przejętych chrześcijańską miłością dziewic, powzięło myśl pracą rąk własnych przyczynić się do ulżenia nędzy nieszczęśliwych: wynik zaś trudów młodych panienek wręczanym bywa najwięcej potrzebującym pomocy, za pośrednictwem bióra informacyjnego nędzy wyjątkowej. Jeśliby kto z panów kupców, krawców lub też wszelkiego stanu osób miłościwych, a mianowicie dam tutejszych dla których nigdy nie jest obojętnem wezwanie w imieniu cierpiącej ludzkości, zechciał przyczynić się do podtrzymania tak szlachetnego celu, raczy nadsyłac resztki bawełnianych i płóciennych materyi do naszej redakcyi (Ulica Elektoralna N. 41.) a takowe natychmiast doręczone zostaną komu należy.

L. N.

O ZNACZENIU KOBIETY
w zakresie Gospodarstwa Społecznego

odczyt D-ra Lorenza von Stejn, miany w Czytelni studenckiej w Wiedniu.

przełożył z niemieckiego Edward Przewóski.

Droga przyjaciołko!

Osądziłaś, że te pobieżne uwagi, będące odgłosem wspomnień i spostrzeżeń, jakie nasuwa zmienna fala życiowych wydarzeń, zasługują na to, ażeby je podać szerokiemu kołu czytelników. Musisz jednak przyjąć na siebie część odpowiedzialności za to, że wypowiedziałem tylko luźne uwagi i proste życzenia tam, gdzie głębsze wniknięcie w przedmiot mogłoby przynieść rzeczywisty pożytek. Niech wreszcie i tak będzie. Kobieta wie najlepiej, że najlepsze co posiadamy jest to, z czego inne, przyjacielskie ręce właściwy potrafią zrobić użytek. Być może, że te krótkie uwagi ze świata, w którym kobieta była dotąd mało znaną a jeszcze mniej cenioną, znajdą właściwe sobie miejsce pośród tego co już dotąd wypowiedziano i napisano o kobietach. Mam ja to wewnętrzne i na doświadczeniu całego życia oparte przeświadczenie, że żadne szersze ludzkie dążenie nie osiągnie rzeczywistej siły i znaczenia, jeżeli nie potrafi pozyskać wielkiej, choć cichej potęgi, jaka spoczywa w kobiecie; znaczenie to nadaje mu właściwą żywotność kobiecej natury. Wiem także, że kobieta obojętnie pomija to, czego nie rozumie jej serce. To jednak co pokocha, pojmuje i odczuwa głębiej niż mężczyzna. Jeżeli więc uda mi się wykazać, że są prawdy, które kobieta może, poznawszy, pokochać i że prawdy te nie mogą być obojętne dla jej męża i dzieci, sądzę z tobą, że nie powinienem się obawiać, aby te ulotne kartki ogołocone były bezpotrzebnie i to tym bardziej, że zdaje mi się iż przyszedł nareszcie czas, w którym znaczenie kobiety w zakresie domowego ogniska śmiało zarysowywa się na tle znaczenia, jakiego ona nabierać zaczyna na szerszej arenie społecznego życia, na której jak się o tem od swoich siostr dowiedzieć i na nich sprawdzić może, szczęście zdobywa się nie zupełnem zniwelowaniem różnic; lecz harmonijnem ich zjednoczeniem... Gdy zaś łaskawie przyjmiecie i odczujecie to, co wam wypowiem, pozwólcie mi zrobić jeszcze ostatnią uwagę, pozwolicie mi mieć nadzieję, że i moją naukę: Gospodarstwo Społeczne, którego domowe jest tylko poddziałem—zamiast, jak dotąd, szanować zdaleka — polubicie. Wzrok bowiem kobiety jest dla każdej nauki ożywczym słonecznym promieniem, który użyteczną niwę przez nas uprawianą, okrywa zdobnem kwieciem, z którego my wijemy Wam wianki...

Wiedeń w Marcu 1875 r.
Dr. Lorenz von Stein.

I.

Drogim przywilejem naszego stulecia jest to, że nietylko kochamy i czcimy nasze kobiety, jak to przynajmniej w części robiły wieki ubiegłe, lecz także zastanawiamy się nad niemi. Szczególnem znamieniem naszego czasu zdaje się być ta okoliczność, że to tylko

uważamy za prawdziwe, co znamy i pojmujemy — i kobiety więc, ich życie i najskrytsze tajniki ich serca i umysłu, stają się przedmiotem naszych badań. Czy słusznie staramy się mierzyć pracą myśli to, co tak chętnie rozstrzygamy uczuciem....?

Mniej już przywiązuję wagi do drugiej chociaż może mniej pewnej odpowiedzi. Co na to powie kobieta, że robimy ją przedmiotem nauki i to nauki, która własną swoją miarą mierzy większą połowę rzeczy ludzkich— nauki otwartości, nie pomyślawszy nawet o zrobieniu na jej korzyść wyjątku tego ogólnego prawidła.

Czy kobieta pozwoli na to, żeby dla mężczyzny miała jeszcze inną wartość, obok tej jaką ma dla niego przez swoją miłość? Czy zniesie cierpliwie, gdy do niej, ja, cobym wszystko dla niej poświęcił, zastosuję prozaiczne pojęcia o wytwarzaniu i zużyciu, o rozchodach i dochodach? Czy pozwoli na to, żeby to, co jest nieocenionem samo przez się, było szacowane i oceniane z punktu ekonomicznego?

A jednak, prawie w to wierzę. Jeżeli bowiem robimy to, od czego w żaden sposób uwolnić się nie możemy, to cel naszych poszukiwań usprawiedliwiać powinien drogę po której ku niemu iść jesteśmy zmuszeni.

Pozwoli więc nam kobieta zwrócić się do niej samej, zanim pozwolimy sobie o niej się rozpisać.

Od wielu tysięcy lat nie spotykamy w historyi ludzkości ani jednego stulecia, w któremby szczegółowo zastanowiono się nad wewnętrzną istotą i zadaniem kobiety. Pomimo niezaprzeczonego bogactwa starożytnego świata w najrozmaitszych dziedzinach ludzkiego ducha, jest to właśnie dziedzina której nie dotknęła badawcza myśl dawnych wieków. Rzeczywiście godne uwagi kobiece postacie starożytności pomija nie tylko filozofija i historya, lecz i bogaty zmysł spostrzegawczy greckich paryżan, ateńczyków i obok jednego pięknego obrazu Penelopy, spotykamy tylko efemeryczne zjawisko pewnej Lais, tylko potężną Kleopatrę, tylko bezwstydną Messalinę i nawet niestrudzony umysł wielkich myślicieli nie uwzględnił kobiety. Arystoteles wie, w swojej polityce o stu przyczynach upadku i wielkości państw i narodów — nie wie jednak nic o jednym z najpotężniejszych czynników życia i jego przejawów — o kobiecie. Plato zna ideał człowieka, państwa, nieśmiertelności — nie zna jednak ideału kobiety. Lirycy opiewają wszystko, aż do olimpijskich bojów i zwycięzców, nie widzą jednak tych przed którėmi ostatecznie schylają się owi zwycięzcy. Pomiędzy wielkimi i małymi dramaturgami starożytnemi, tylko jeden Sofokles ma swoją Antygonę. Nie znają oni i nie umieją spożytkować kobiety jako życiowego czynnika i dla tego ich wielkie nawet dramata są dla nas tylko księżycowo-zimne, surowe, historyczne.... Dopiero w świecie germańskim zaczyna się nowa era w życiu kobiety. Wstępuje tu ona na scenę historyi; ma swoją poezyę. Na progu tej epoki stoi Krimhilda i Brunhilda, dwie postacie obce zupełnie starożytnemu światu a Gudruna staje się przedmiotem drugiej, niemniej wielkiej epopei (*). Potem zjawiają się trubadury, a za ich przykładem niemieckie minnesengary; serce niemieckiego narodu odgadło to, czego nie dostrzegał rozum starożytnych, że miłość jest potężnym czynnikiem, który samowładnie panuje nad jedną połową naszego życia, ażeby drugą szczęśliwą lub nieszczęśliwą uczynić. Małżeństwo staje się treścią walk, jakie toczy jednostka zarówno z indywidualnem jak i społecznem otoczeniem. Pathos z czysto męzkiego staje się nawpół żeńskie; mężczyzna, który dawniej życie i wszystkie swoje siły poświęcał tylko państwu, zaczyna nietylko czuć i żyć ale i umierać dla kobiety, a poezya XVIII wieku pokrywa grób każdego Werthera wdzięcznemi kwiatami pieśni i żałobnemi tonami muzyki. Wszędzie więc spotykamy kobietę, stała się ona potęgą— połową życia. I czasem tylko chłodna satyra Gellerta i Rabeaera rzuci tu i owdzie komiczny rys na zachwycające obrazy, w których Gretchen i Klarchen w przeróżnych pozach, na papierze lub scenie patrzą na nas swemi pięknemi oczami i pociągają ku sobie; obrazy jednak pozostają pięknymi i nawet Safony, które mamy szczęście posiadać i które nas tak zachwycają z równym wdziękiem i powodzeniem, pojawiają się na błyszczącym horyzoncie naszego świata sztuki. Bezwątpienia staliśmy się bogatsi o całą połowę naszego życia; dotąd jednak tylko w poezyi. Rzeczywistość zna, jak zawsze tylko kobietę; nie zna jednak wielkiej potęgi, która w niej żyje jakkolwiek nawet „femmes imcompriser“ Balzaka nie zdołały oziębić zainteresowania się choćby trzydziestoletniemi bohaterkami—w poezyi. Nareszcie przyszły trzeźwe nasze czasy. Ich głównem znamieniem jest miara. Podzieliliśmy ją na tysiączne rodzaje, mierzymy nią tysiączne kształty — zawsze jednak toż samo mierzymy. Zawsze bowiem mierzymy tylko wartości, z całą świadomością i chłodną rozwagą szukając ich w każdej rzeczy. Słońce jest dla nas tylko światłem i ciepłem, siłą—produkcyą; gaj słowików, ożywiony tchnieniem wiosny, czynnikiem gospodarczym z powodu swojej wilgoci, i nawet kwiat zyskuje prawo do naszych ekonomicznych względów tylko jako zwiastun cennego żniwa. Bardzo smutno jest być tak bardzo pożytecznym — cóż jednak robić? Któż ośmieli wyłączać się z pod tego ogólnego prawidła? Jeżeli bowiem każda forma ludzkiego bytu podległą jest ekonomicznej miarze, to cóż nas upoważni do robienia wyjątku na korzyść jednej z nich, choćby tam... urocza wiosna życia obrała sobie mieszkanie.

Na to nie pozwolimy, a sądzę, że i kobieta nie przebaczyłaby nam tego. Jednym z najgodniejszych uwagi objawów naszego stulecia, jest wyswobodzenie kobiety z pod przewagi mężczyzny, poczucie jej samodzielności i to pragnienie, które każe jej być nie piękną tylko kosztownością, lecz samodzielnym czynnikiem w pracy naszego niezmordowanego wieku. Kobieta, posłuszne, ciche i bierne dopełnienie mężczyzny od tylu stuleci, zaczyna pojmować, że wszystko prawie, dzieje się tylko przez połowę, i tylko na pół jest gotowe, jeżeli ona nie weźmie w tem udziału; zaczyna pojmować, że z tem wszystkiem co ma w sobie właściwego, może znacząco zaważyć na szali stosunków życiowych, że jej istnienie i szczęście nie tylko zależy od tego, czem jest samą przez się, lecz jeszcze bardziej może od tego czem zechce być i co uczyni. Powoli i niepostrzeżenie wciska się ona w gotowe już kadry męzkiej pracy, pragnie wziąść czynny w niej udział, według sił i zdolności i przestać być jej tylko ciężarem. Zdobywa się nawet na odwagę śmiało żądać udziału w zyskach i przyjmuje na siebie odpowiedzialność za to, co uważa za właściwe zadanie kobiety. Nie chce ona być mężczyzną, lecz chce być tem, czem mężczyzna być nie może, i dla tego wypytuje się wszystkich ludzi doświadczonych i rozumnych, co dla niej jest właściwe, czemu sprostają jej siły. Chce ona ująć w ściśle określone formy to co w niej żyje; obok miłosierdzia żąda doświadczenia i rady; chce się oswobodzić z owej przygniatającej pomroki lat ubiegłych, które listek po listku obrywały z ułudnych kwiatów jej marzeń; chce ona mieć wartość sama przez się i postawić coś trwałego na miejscu tego, co było dotąd tak niestałem i zmiennem. Pragnie stanąć odtąd w szrankach życiowej walki obok mężczyzny. Czyż miałaby na zawsze pozostać tylko tem, czem była według wyobrażeń minnesengerów i marzycieli różnych czasów i rodzajów? Ona tego bynajmniej nie pragnie i wie że już dziś jest to niemożebnem. Chce mieć znaczenie dla tego tylko, że ma wartość... I na tem polu spotyka się z nauką, w której z chłodną rozwagą w przyrodzonych zjawiskach dopatruje się produkcyjnej siły, szczęście mierzy według jego istotnej wartości, a cierpienie uważa za przedmiot badania. Nauka Gospodarstwa Społecznego, nauka która nie rozumie co to tylko kochać lub nienawidzić, która entuzyazmuje się pracą, potrzeby ocenia tylko ze względu na produkta a postęp widzi w odpowiedniem ustosunkowaniu rozchodu z dochodem, cóż nauka ta zrobiła z kobietą...

Zanim jednak odpowiem na powyższe pytanie, pozwólcie mi zrobić jedną uwagę. Gdyby wszystko było ściśle jednakowe i gdyby wszystkie siły działały w jeden i ten sam sposób, to życie byłoby bardzo monotonną maszyną. Tak jednak nie jest. W świecie ludzkim jak i w świecie przyrodzonym życie rozmaitość, najważniejsza ze światowych zagadek, opierająca się na równości, w istocie i przeznaczeniu jest niewyczerpanem źródłem wszelkiego życia. W skutek tego na progu każdej nauki spotykamy się z tą wielką prawdą, że jedno i tot samo zjawisko rozpatrywane z dwóch różnych stron i przejawiające w dwojaki sposób tworzy rozmaitość. A jeżeli tak jest w istocie, to niepowinniście wymagać, żebym w jeden i ten sam sposób wykładał Gospodarstwo Społeczne kobietom i mężczyznom. Moim zamiarem jest przedstawić Wam obecnie nie chłodny system, tej najmłodszej gałęzi ludzkiej wiedzy i teoretycznie zaokrąglić go pewną ilością pewników, lecz z oderwanych pojęć utworzyć jednolity obraz, a na prawa ukazać w barwnym procesie życiowym. Przez to jednak nauka nasza nic się nie zmieni i zanim przystąpię do jej wykładu, winienem się zabezpieczyć przed mniemaniem, jakoby podobne przedstawienie było górne i mniej warte od zwykle używanego. Ponieważ przemawiam tu nie do mężczyzn lecz do kobiet, podając im suche pojęcia i wywody, nagą rzeczywistość i bezlitośne prawa; życzę sobie a nawet jestem o tem przekonany, że w ich rękach suchy pień na nowo zakwitnie, a kłopotliwe zabiegi dnia znajdą ciche schronienie i odpoczynek pod cieniem jego rozłożystych konarów. Odłóżmy więc nieco na stronę naukę surową i ścisłą; być może, że tam gdzie myśl potrafi okrywać twardy grunt codziennego życia zielenią, znowu ją odnajdziemy wśród kwiatów i liści.

(d. c. n.)

(*) Zapomniał Autor lub też nie chciał pamiętać, że kobiece te postacie są czysto słowiańskie, jak to same nazwiska ich pokazują. *Red.*

PANI LUIZA.

(Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA)

NOWELLA

ELIZY ORZESZKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

— I owszem; chciałabym przypatrzyć się kiedykolwiek tym tłumom biednych, zapracowanych istot. Cóż kiedy nikt o nich pisać nie umie inaczej jak nawpół tylko literami a nawpół cyframi. Wszelkie zaś

cyfry są dla mnie rzeczą niepodobną do wyczytania, a jeżeli kiedy i przymuszę się aby kilka z nich wyczytać, wnet wylatują mi z pamięci.

— Jak widzę, odezwałem się, mogłabyś pani w takim tylko razie zabrać znajomość z potrzebami, cierpieniami i interesami ogółu ludzi, jeśliby one przedstawionemi były pani w szeregu oper, pieśni lub obrazów, mistrzowsko w dodatku wyśpiewanych lub wymalowanych.

— Możnaż na temat ten układać wielkie pieśni lub prawdziwie piękne obrazy? odrzekła. Byłyły to chyba piosnki uliczne lub obrazy przedstawiające karczmy...

Obok wyniosłej tej wzgardy dla ogółu śmiertelnych, w sercu p. Luizy istniała żywa litość cierpień ludzkich, które szczególnym wypadkiem jakimś podpadały jej pod oczy. Pewnego dnia znalazłem ją klęczącą przy aksamitnej kozetce, na której leżało wybladłe, zemdlone, łachmanami okryte dziecię.

Ujrzawszy mnie wchodzącego, zawołała:

— Zobacz pan co to za biedne stworzenie! Widziałam dziś przez okno jak tragarze niosący coś ciężkiego obalili je na chodniku. Dziecię to słabe, zziębłe, zgłodniałe widocznie zemdlało. Kazałam je tu przynieść i staram się przywrócić je do życia...

Mówiąc to nachylała się nad biedną dzieciną ze łzą w oku i wyrazem głębokiej tkliwości na twarzy. Nagle odwróciła głowę.

— Dieu! szepnęła, jaka to brzydka rzecz te łachmany! que cela sent mauvais!

Na grubą, podartą sukmankę dziecka wylała całą buteleczkę przedziwnej jakiejś perfumy a kiedy dziecię otworzyło oczy, posadziła je na niskim taboreciku i przez dobry kwadrans karmiła je własnoręcznie wybornemi cukierkami, których koszyk stał u niej zawsze na stole.

— Wolałbym, rzekłem, abyś pani zamiast rozlewać na dziecię te kosztowne perfumy, dała rodzicom jego trochę pieniędzy. Pożyteczniej też byłoby zamiast cukierków dać mu tęgiego bulijonu i kawałek chleba lub bułki.

— O Boże! zawołała z prawdziwą urazą w głosie, jakim pan jesteś doprawdy dziwnym człowiekiem. Na całym szerokim świecie nic pan nie widzisz i widzieć nie chcesz, prócz—pieniędzy i—chleba!

Pomimo ogromnej i wszechstronnej różnicy pojęć i upodobań, którą mi sama co chwilę wyrzucała, żartobliwie niekiedy, ze smutnem rozżaleniem najczęściej, stosunki nasze stały się odrazu prawie bardzo przyjacielskiemi. Mało znałem osób któreby zaznajamiały się z taką łatwością a zarazem były tak słodkiemi i pełnemi uprzejmego wdzięku w stosunkach z ludźmi. Powzięła do mnie zaufanie bez granic, ślepe prawie a że pomimo olbrzymiej trudności, z jaką wydobywałem od niej najmniejsze słówko, najmniejszą wskazówkę tyczącą się jej interesów, potrafiłem załatwić pomyślnie parę spraw drobnych bardzo, ale które w wyobraźni jej przybierając straszliwe jakieś rozmiary, napełniały ją troską i obawą, okazywała mi za to wdzięczność tak żywą, że aż w zakłopotanie mię wprowadzającą.

Przed ks. Andrzejem nazywała mię: człowiekiem szlachetnym, dobrą duszą, rycerskim charakterem i t. d. Najzwyklej jednak wyrażała się o mnie: to moja opatrzność! Słowem, idealizowała osobę moją zupełnie tak samo, jak ową chatkę wieśniaczą którą przez tygodni parę malowała. Skończywszy jednak malować chatkę rozpoczęła kopijowanie obrazu przedstawiającego średniowieczny zamek feudalny na wysokiej skale, niby gniazdo jastrzębie, nad rojem poniżej rozsypanych chatek zawieszony.

Zachwycała się z kolei feudalnym zamkiem i do ideału piękna i poezyi podnosiła to życie które mieszkańcy jego wieść w nim musieli.

— A biednych tych chatek, zagadnąłem, które zamek ten gnębi i w ziemię wbija, nie żałujesz już pani?

— Owszem, odpowiedziała w zamyśleniu przypatrując się wyniosłym basztom zamku; tylko wyobrażam sobie, że nie było na ziemi szczęśliwszej kobiety nad kasztelankę zamek ten zamieszkującą, gdy stojąc na jednym z ganków swych wieńczyła po odbytych turniejach rycerza-zwycięzcę...

— Szczególniej jeżeli zwycięzca ten był Pompilijuszem a ona ukochaną jego Numą, dokończyłem.

Zarumieniła się trochę i wzruszyła ramionami.

— Pan posiadasz dziwną sztukę, rzekła, obracania w śmieszność najwznioślejszych, najpoetyczniejszych na świecie rzeczy.

Tegoż dnia wśród mnóstwa omówień i rumieńców wyznała mi, że pod pewnym względem znajduje się w wielkim kłopocie i że jedynie tylko jak najprędsza podróż moja do jej dóbr z kłopotu tego wybawić ją może. Ponieważ zaś, w skutek długich starań i zachodów, zdołałem wyszukać część przynajmniej niezbędnych po temu papierów i dokumentów, przyrzekłem jej że za parę już dni pojadę niezawodnie do Żmurowszczyzny.

Przed wyjazdem spostrzegłem, że brak mi kontraktu zawartego pomiędzy nią a dzierżawcą głównego z folwarków jej i poszedłem do niej z nadzieją, że po kilkogodzinnych usiłowaniach, potrafię może wymódz na niej aby kontraktu tego poszukała w swem eleganckiem bióreczku, lub przynajmniej postarała się przypomnieć kiedy i gdzie zawartym on został.

Omyliłem się; o kontrakcie, po który właściwie przyszedłem, nie dowiedziałem się wcale. Na wschodach za to spotkałem nieuchronną pannę Zuzannę, która ze zwykłą swą natarczywością szepnęła mi, że idzie rozerwać trochę biedną hrabinę, która jest bardzo, bardzo zmartwioną i smutną. Książę Janiunio bowiem przychodzi do niej coraz rzadziej i bawi zwykle krótko. Wczoraj wieczorem, szeptała drepcząc koło mnie i zabiegając mi drogę, najdroższy ten aniołek zalewał się gorzkiemi łzami... myślałam że mi serce pęknie z żalu... Okropna baba ta nie myliła się przecież i nie kłamała. Od kilku dni dopatrywałem istotnie w p. Luizie wielką zmianę humoru. Bledszą była niż wprzódy, za to oczy jej gorzały zdwojonym, smutnym blaskiem. Wydawała się wciąż niespokojną i boleśnie rozdrażnioną. Bardzo często spoglądała na zegar, drgała widocznie za każdem ozwaniem się dzwonka u drzwi i więcej niż kiedykolwiek mówiła o samotności swej, opuszczeniu w jakiem się znajduje, o pustce którą czuje w sobie i w koło siebie. Kilka razy spostrzegłem nawet, że rozdrażnienie to jej dosięgało stopnia gniewnego rozjątrzenia. Przestawała wtedy całkiem być uosobieniem słodyczy i wdzięku. Nakształt zdąsanej kotki zwijała się w kątku kanapy, zapadała w chmurne, uporczywe milczenie, które gdy z konieczności już przerywała, głos jej zamiast zwyczajnej mu miękkości i melodyjności, brzmiał ostro i ucinkowo. Możnaby rzec, iż w chwilach owych przenikał ją do głębi głuchy i zacięty acz nieokreślony gniew na świat cały.

Wszystkiego tego bezpośrednim powodem było zjechanie do miasta naszego, kilku majętnych i wysoko w towarzystwie postawionych rodzin obywatelskich. W kółku tem bawiono się trochę w wieczory tańczące i w zbiorowe za miasto przejażdżki. Książę Jaś bawił się wraz z innemi, co było bardzo naturalnem w jego wieku. Wycieczki w krainę sentymentów, przez całą minioną zimę z panią Luizą odbywane, wydać mu się musiały, koniec końców zbyt monotonnemi a gdy nadarzyła się sposobność przełożył nad nie towarzystwo kilku wesołych i wytwornych rówieśników, a bardziej jeszcze może pięknej hrabianki Julji, która z jednostajnym zapałem tańczyła i konno jeździła, miała lat 18, wabne oczy i kilka milijonów złotych posagu.

W dobrach p. Luizy przepędziłem blizko tydzień. Rzadko bardzo w kraju naszym, napotkać można tak piękny i drogocenny kawał ziemi i tak starożytny, malowniczo położony, wspaniałego charakteru pełen dwór, jak był dwór i ziemia przez p. Luizę w spuściźnie po przodkach odziedziczone. Były tam grunta tak wyborne, że żyznością swą sławnej Ukraińskiej glebie niemal dorównywające, łąki jak okiem zajrzeć, szerokie, niby kobierzec gładkie i kwieciste, lasy ciemne, głębokie, falistą firanką spuszczające się po wzgórzach. Dokoła pałacyku w poprawnym bardzo stylu odrodzenia zbudowanego, rozkładały się szeroko wspaniałe dziedzińce, ogrody i parki, wielka rzeka spławna o skalistych brzegach płynęła w pobliżu, a od niej niby ramiona kręte i srebrzyste wiły się strumienie liczne przerzynając łąki, szemrząc na dnie głębokich jarów, wkradając się do parku i niewymownie świeże powiewy mieszając w powietrzu z napełniającą ją mocną wonią poblizkich borów.

Był to istny raj ziemski. A raczej mógłby to być raj, gdyby na każdym kroku nie widniały śród niego wyraźne ślady opuszczenia, zwiastuny zbliżającej się zupełnej ruiny.

Na znacznej przestrzeni dóbr tych, w głównym dworze jako też w kilku pomniejszych folwarkach i kilkunastu wśród wzgórz i równin rozrzuconych wioskach, mieszkała kilko-tysięczna ludność. Dzieci samych napotykać tam można było prawdziwe roje. Widywałem liczne gromady ich pląsające po łąkach nad strumieniami, kołyszące się w głębi gajów i na dnie wąwozów, hałasujące i wyprawiające wrzaskliwe harce po obszernych dziedzińcach dworskich.

Był to prawdziwy lud istot drobnych, złotowłosych, nieokiełznanych—wpół dzikich.

Dawny kolega mój szkolny i przyjaciel Władysław Łudziński, który od lat czterech już dzierżawił główny majątek p. Luizy, ułatwił mi wielce zapoznanie się z naturą i położeniem dóbr całych, jak też stworzenie sobie dokładnego obrazu, czem były one, a czem być mogły. Zachwycony byłem zmianą którą w dawnym przyjacielu moim ujrzałem. Z wesołego, płochego nieco chłopaka, stał się on poważnym bardzo i wytrwałym pracownikiem. Utrzymywał przy sobie starą, owdowiałą swą matkę, wychowywał młodsze rodzeństwo, zamierzał wkrótce ożenić się z kobietą, którą kochał oddawna i serdecznie. Gospodarował też wybornie, pracując z zapałem i ufnością w przyszłość. Zmartwił się przecież trochę gdy przeczytawszy kontrakt dzierżawczy, powiedziałem mu, iż był on niezupełnie formalnym i zawierał punkty na mocy których z łatwością obalić go można.

— Na Boga! zawołał blednąc, mogłożby to być aby mi się stała kiedy krzywda podobna? Znalazłem tu pustynią, przez lat cztery włożyłem w ulepszenia gospodarskie cały mój niewielki fundusz, a zwrotu jego spodziewam się dopiero od przyszłości. Gdyby mię ztąd wypędzono — byłbym bezpowrotnie zrujnowanym...

Uspokoiłem go mówiąc, że o ile znam p. Luizę mniemam, iż nie jest ona zdolną do popełnienia tak nieuczciwego występku.

Mówiłem jak myślałem. Ufałem dobremu, mięk-

kiemu sercu klijentki mojej i wstrętowi jej do wszystkiego co brzydkie i nizkie.

Wróciwszy ze wsi udałem się wnet do p. Luizy. Jakkolwiek była to już godzina 4-ta po południu, powiedziano mi że pani domu jest jeszcze nie ubraną i prosi mię abym zaczekał na nią chwilę. Nie czekałem długo. Wybiegła wkrótce z za blado-błękitnej drzwi sypialni przysłaniającej firanki, i ze zwykłą właściwą sobie entuzyastyczną nieco serdecznością, podała mi na powitanie obie swe drobne, miękkie, alabastrowo białe rączki. Wyglądała dnia tego piękniej niż kiedy, chociaż nie mogłem nie widzić; iż przez tydzień ubiegły twarz jej schudła znacznie, okryła się cerą lilijowej niemal białości i przezroczystości i bardzo widzialnemi śladami głęboko nurtującego ją cierpienia. Ale miała na sobie fałdzisty, długi szlafroczek z czarnego aksamitu, w którym jej było bardzo do twarzy. W pośpiechu z jakim wychodziła na me spotkanie nie uczesała jak zwykle włosów swych, które gęste i lśniące długiemi pasmami spływały jej na plecy i na wychylającą się ze śnieżnych koronek również białą szyję. Nie wiem doprawdy, czy malujące się na twarzy jej dotkliwe, głębokie cierpienie, czy też wdzięk nieopisany, cichy a miękki z całej postaci jej dnia tego tchnący, usposobił mię dla niej tak przyjaźnie, ale uczułem się na jej widok dziwnie ciepło i sympatycznie wzruszonym. Byłem, jak mi się zdaje, pod wpływem takiego litościwego uczucia, jakiego doświadczamy na widok łagodnego a chorego dziecka, albo też pięknego, usychającego kwiatu.

W istocie też, miałżem przed sobą człowieka? Kobieta ta, nie byłaż raczej dzieckiem lub kwiatem?

W sposób tak ostrożny i delikatny w jaki tylko przemawiać można było do tak delikatnej, przezroczystej niemal i powiewnej istoty, oznajmiłem jej że z wielkiem dla siebie zmartwieniem nie przywożę jej lepszych wieści niż te, które otrzymała była przedtem od kolegi mego, adwokata L., że dobra jej były istotnie zrujnowane bardzo, folwarki wszystkie, z wyjątkiem tego w którym gospodarował Łudziński, do najwyższego stopnia wyeksploatowane i wyniszczone, że zatem spodziewać się ona nie może więcej jak połowy dochodów tych które Żmurowszczyzna dawała przed laty. Mówiąc to złożyłem przed nią na stole całą pakę asygnat, wraz z rachunkami i sprawozdaniami oficyalistów i dzierżawców od których pieniądze te otrzymałem.

Zarumieniła się lekko, nie dotknęła pieniędzy. Wiedziałem o tem z góry, że za nic w świecie nie dotknęłaby ich — przy świadkach. Usiłowała nawet nie patrzyć na nie, na twarzy jej przecież odmalował się przestrach widoczny, wiadomością o zmniejszonej sumie dochodów sprawiony.

— Skoro pan mówisz mi o tem, wyrzekła słabym głosem, musi to być prawda... a jednak nie pojmuję jakim sposobem dojść do tego mogło...

— Mój Boże! dodała z wyrazem sztywnego przestrachu patrząc w przestrzeń, cóż się ze mną teraz stanie!...

Nadaremnie tłomaczyłem się, że 8 lub 10 tysięcy rubli rocznego dochodu które jej pozostały, stanowiły majątek bardzo znaczny, wystarczający nie tylko na dostatnie ale na zbytkowne utrzymanie i nie tylko dla jednej osoby ale dla licznej choćby rodziny. Słuchała mnie z powątpiewaniem wstrząsając głową.

— Pan nie znasz całej okropności położenia mego, szepnęła.

— Chciejże mi pani powiedzieć wszystko, prosiłem.

Nie pamiętam już jakiej mianowicie użyła przenośni, wiem tylko że słowa jej były rodzajem rebusa które odgadywać musiałem, aby wyczytać zeń wyraz długi. Suma długów tych i dłużków była znaczną. Położenie stawało się z powodu tego dość w istocie ciernistem.

Spowiedź ta, którą p. Luiza wymogła na mnie z wielkim wysiłkiem woli, zmęczyła ją i rozstroiła do reszty. Ze łzami w oczach pochwyciła mię za rękę.

— Pan jesteś tak dobrym, szlachetnym, rozumnym człowiekiem, rzekła, przed panem wszystko powiedzieć mogę. Widzisz pan przed sobą kobietę ściganą przez dziwny jakiś nieubłagany fatalizm. Byłam nieszczęśliwą od pierwszych dni życia mego! Wszystko do czegokolwiek przywiązałam się kiedy, na cokolwiek liczyłam, opuszczało mię zawsze i uwodziło!

Z czołem na dłoni wspartem, cichym, melodyjnym swym głosem, i w zwykły sobie, wpół poetyczny, wpół malowniczy sposób, opowiadała mi o dzieciństwie swojem spędzonem przy ojcu obojętnym dla niej i oddanym światowym uciechom, wśród najemnych bon i nauczycielek, z których żadna nie dała jej nigdy ani najdrobniejszej cząstki macierzyńskiej opieki i tkliwości.

— Robiłam co chciałam, mówiła, otaczał mię zbytek najwytworniejszy, ale—było mi ciągle strasznie zimno... zazdrościłam dzieciom które miały matkę... tęskniłam ciągle, płakałam i chorowałam często...

Lata spędzone w klasztorze pozostawiły jej po sobie względnie najlepsze wspomnienie. Kilka szczególniej obrazów i scen z życia klasztornego utkwiło jej na zawsze w pamięci. Z wyrazistością czasem nie przyćmioną, widziała przed sobą sklepione kurytarze, długie zda się jak nieskończoność, z obu stron przyozdobione kapliczkami w których stały marmurowe Madonny zwieńczone różami i unosiły się wiecznie srebrzyste dymy różnych upajających kadzideł. W wieczór przepaściste przejścia te napełniały się tajemniczym mrokiem, a w dalekich głębokościach ich, przed świętemi obrazami zwieszone, płonęły lampy, jak blade i drżące gwiazdy. Kiedy wśród nocnej ciszy i ciemności, płynął od strony klasztornego chóru, przeciągły śpiew zakonnic, zakradała się ona wtedy w najciemniejszy kącik kurytarza i do białego dnia częstokroć czuwając, unosiła się wraz z dolatującemi do niej śpiewnemi westchnieniami, ku sferom jakimś niepojętym i nieznanym lecz dziwnie promienistym, rozkwitającem śnieżnemi lilijami, szumiącym ścicha puszystemi skrzydłami przelatujących Cherubów. Uczyła się wtedy bardzo wiele muzyki, śpiewu i malarstwa a jedyne prawie nauki te jakie otrzymywała, sprawiały jej rozkosz niewymowną i otwierały przed nią coraz głębsze, jaśniejsze perspektywy rojeń i nieokreślonych dobrze lecz gorących nadziei.

— Później dopiero zrozumiałam, rzekła, że nadzieje te i rojenia moje zwróciły się ku światu którego nie znałam wcale, ale który z za murów klasztornych ukazywał mi się niby czarnoksięzki pałac pełen wesela, szczęścia i miłości. O! jakże srogo zawiedzioną być miałam!

Prosto niemal z klasztoru udała się do ślubnego ołtarza. O małżeństwie swem z panem Wielogrońskim mówiła niewiele i z widocznym przymusem. Tyle tylko ze słów jej wyrozumieć mogłem, iż był to według jej zdania, człowiek pozbawiony wszelkiej delikatności uczuć, krańcowy materyalista nie pojmujący nic wyższego nad poziome bardzo zajęcia i rozrywki. Nie bardzo temu wierzyłem, wiedziałem bowiem skądinąd, że zmarły mąż p. Luizy miał wiele gruntownych i bardzo cennych zalet umysłu i charakteru. Ślady obywatelskich szlachetnych uczuć i dążności jego trwały nawet dotąd jeszcze w rodzinnej jego okolicy. Istnieli jeszcze ludzie którzy wspominali go ze czcią i wdzięcznością. Ale — był to podobno mężczyzna z powierzchownością dość grubą i nieponętną, wyćwiczony w szkole twardych doświadczeń bynajmniej nie marzyciel. Być może zresztą iż miewał dobry apetyt i śmiał się lub mówił zbyt głośno.

Cokolwiekbądź w oczach pani Luizy była to zimna, gruba, krańcowo zmateryalizowana natura. Nie mieli ze sobą ani jednej myśli wspólnej, ani jednego wspólnego zamiłowania. Młoda kobieta usychała z tęsknoty i smutku przy swym zacnym i szlachetnym lecz za mało dla niej eterycznym małżonku i —tylko, zamiast jak bywało z nią za lat dziecinnych, płakać i chorować z tęsknoty i smutku—tańczyła na balach i w nieustannych wędrówkach zwiedzała wszystkie kąty ucywilizowanego świata.

— Szukałam ideału mego, tłomaczyła mi, szukałam serca któreby jednostajnie z mojem uderzało...

Owdowiała nakoniec i jednocześnie prawie odziedziczyła po ojcu, jako jedynaczka całą jego wielką fortunę. Widząc się swobodną z tem większym zapałem szukać po świecie zaczęła ideału swego i serca bratniego jej sercu. Wiele, wiele razy zdawało się jej, że znajdowała już drogocenne te przedmioty ale ścigający ją zapewne fatalizm sprawiał, że zawodziła się zawsze. Wiekuiste poszukiwania te i zawodzenia się otrzymały ten bezpośredni skutek, że dobra sława jej uległa w obec świata zarzutowi płochości i zalotności. Świat jest sam tak poziomy i tak brudny, skarżyła się przede mną, że wszystko widzić by rad w ciemnych i brudnych barwach. Najczystsze marzenia moje, najprawsze pragnienia uległy najczarniejszym, wstrętnym podejrzeniom... Cierpień moich, walk, zawodów serdecznych nikt nie domyślał się i nie pojmował a widząc tylko żem nieraz porzucała to, za co przez czas jakiś oddałabym była życie, ludzie ogłosili mię kokietką bez serca... Spotwarzono mię, nawymyślano na mój rachunek najnieprawdopodobniejsze historye. Był czas w którym nic dokoła siebie nie widziałam prócz twarzy obłudnych i jadowitych, szyderskich uśmiechów. Usunęłam się od świata, przez lat kilka pędziłam życie samotne, zimne i pełne tęsknoty, a przyozdobione tylko pociechami jakich użyczały mi ulubione książki moje, muzyka i malarstwo... Myślałam żem już przebyła wszystkie tortury życia, żem zdławiła i do milczenia zmusiła pragnienia serca i porywy wyobraźni... Myliłam się... czara goryczy nie została jeszcze dla mnie wyczerpaną do dna...

— Owóż, kropla ta gorzkiego napoju która pozostała jeszcze p. Luizie do wypicia, najtrudniejszą dla niej była do ukazania. Teraźniejszość opowiada się zwykle z większą daleko trudnością niż przeszłość. Zrozumiałem jednak iż kropla ta znajdująca się na dnie gorzkiej czary, przez fatalizm wciąż do ust p. Luizy przykładanej, nosiła mitrę książęcą i imię: Jan. Znam go od dzieciństwa, mówiła p. Luiza nie wymieniając przecież imienia ni nazwiska żadnego, ale tu dopiero, w mieście tem na tej pustyni, w szare dni lub długie wieczory zimowe, które najczęściej spędzaliśmy we dwoje, poznałam dokładnie całą piękność, całą podniosłość tej młodej, tak cudownie rozkwitającej duszy... O! wierzaj mi pan, że dusza to wybrana... c'est une âme d'élite... umysł to zdolny do unoszenia się w najwyższe sfery piękna... serce tak gorące a tak niewinne jeszcze.... tak, że żadną skazą życia nie tknięte...

Nie mogłem powstrzymać się od dodania w myśli do wszystkich epitetów tych udzielanych duszy i sercu księcia Jasia uwagi, że postać jego była przedziwnie kształtną i wysmukłą, oczy czarne, aksamitne i błyszczące, rysy tej twarzy klasycznie prawidłowe i gorącą obleczone cerą. Pomyślałem jeszcze iż Bóg tylko wiedział a i ja domyślałem się także, jak bardzo dusza młodzieńca tego zwykłą była, pospolitą i samej siebie nieświadomą a umysł słabym

i do wszelkich rzeczy prawdziwie wielkich nie przysposobionym. Nic jednak z tego nie powiedziałem p. Luizie. Wszelkie próby otwierania jej oczów byłyby z mej strony zupełnie daremnem okrucieństwem. Zdawało się jej, że znalazła nakoniec ten ideał swój za którym przez życie całe goniła po wszystkich drogach tej ziemi. Z dziecięcym niemal wiekiem ideału tego nie liczyła się wcale, jak też z piękną powierzchownością o którą, wyobrażała sobie, że nawet nie dba. Nie rozumiała sama siebie, nie przypuszczała że na to szalone, nieprawdopodobne uczucie które ją pożerało składały się w znacznej części żywioły nie posiadające w sobie nic wcale idealnego. Ona nawet niedorzecznego uczucia tego nie nazywała miłością. Brała je za przyjaźń, za jakąś przyjaźń niesłychanie skomplikowanej natury, posiadającą wszystkie ognie gwałtownej, niepohamowanej namiętności, dręczącą ją we dnie tęsknotą i trwogą, spędzającą w nocy sen z jej powiek, nasuwającą jej wyobraźni milijony fantazyjnych lub mistycznych obrazów szczęścia doświadczanego w samotnych chatkach wieśniaczych, na szczytach baszt wznoszących się wśród skał niedostępnych lub na innym, lepszym jakimś świecie, kędy ona rozkwitnąć miała śnieżnym kielichem lilji, a *on* stać się Cherubem na błękitnych skrzydłach przez wiekuiste wieki po nad liliją zwieszonym...

Teraz nie widziała go już od dni kilku. Świat i marne uciechy jego zaczęły go pochłaniać. Słyszała o jakiejś hrabiance Julji. Kto jest ta hrabianka? czy ją znam? jak wygląda? czy w istocie tak piękną jest jak mówią?

Gdy zadawała mi te pytanie głos jej i usta drżały, oczy zapaliły się namiętnym ogniem, prędko jednak bardzo zaszły łzami i pochylając się nizko a twarz ukrywając w bogato haftowaną poduszkę, wybuchnęła głośnem, spazmatycznem, niepohamowanem łkaniem.

(d. c. n.)

SALOMEA.

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY

przez

Miss Edwards.

(Dokończenie).

Rabin chętnie zgodził się odpowiedzieć na moje pytania, tem łatwiej że znał osobiście tę młodą osobę, a z ojcem w ścisłej był przyjaźni.

— Nie wiecie wypadkiem —zapytałem—czy miała ona jaką przyjaciołkę chrześcijankę lub jaką krewnę noszącą to samo imię Salomei?

Rabin potrząsł głową.

— Nie sądzę — rzekł — nie przypominam sobie iżbym tam widział lub słyszał kiedy o młodej osobie noszącej to imię.

— Wybaczcie, ale wiem dokładnie że była inna odpowiedziałem. Była nią piękna młoda osoba imieniem Salomea i mieszkała na Merceria, kiedym był w Wenecyi, rok temu.

— Salomea da Costa była bardzo piękną—odpowiedział rabin, i mieszkała z ojcem na Merceria aż do jego śmierci.

— Ojciec Salomei o której mówię, sprzedawał towary wschodnie!

— Izaak da Costa handlował wyrobami wschodniemi—odpowiedział rabin łagodnie—o jednej więc mój synu, mówimy osobie.

— To być nie może!

Znowu potrząsł głową.

— Ależ ona żyje! zawołałem—żyje! Widziałem ją!. mówiłem z nią wczoraj wieczorem!

— To niepodobna, ta o której mówisz zeszła z tego świata.

— Ależ wczoraj wieczorem ją widziałem! powtórzyłem z żywością.

— Gdzież zdawało ci się żeś ją widział?

— Na Lido.

— Na Lido?

— I mówiła do mnie; słyszałem głos jej; słyszałem tak wyraźnie jak mój własny słyszę w tej chwili.

— Rabin pogrążony w dumaniu, głaskał powoli swą długą brodę.

— Zdawało ci się słyszeć jej głos!—zawołał. To dziwne!—bardzo dziwne!

— A zatem szanowny panie, odezwałem się poważnie, skoro pewny jesteś że Salomea da Costa nie żyje, to widocznie widziałem jej ducha...

Wczorajszego wieczora—mówiłem dalej z wysileniem—widziałem ją po raz trzeci. Pewny będąc że widzę osobę z krwi i ciała, przemówiłem do niej.

Rabin głowę pochylił i pogrążył się w zadumie bacznie się we mnie wpatrując.

Zrozumiałem teraz dla czego ukazała mi się obleczona w piękność eteryczną, nieziemską. Rozumiałem teraz dla czego głos jej dolatywał do mnie jakby z oddali, zrozumiałem błagalny wyraz jej spojrzenia. Łagodna i czysta dusza nie mogła spoczywać między swojemi, bez chrześcijańskiej nad grobem modlitwy, a teraz?—teraz wszystko już się skończyło! Czyż nigdy nie ujrzę jej więcej?

Nigdy! straszny wyrazie, mogiło pamiątek serca co nas rwały do nieba aby chwilowym tchnieniem szczęścia pokrzepić skazanych na ciernie i głogi ziemskiej pielgrzymki. Nigdy! uwiędły kwiecie nadziei, brzmiący echem wieku zamykającem wszystko, co ukochane było duszą naszej duszy, myślą myśli, pragnieniem serca, radością, pociechą, jakże okropnem jest twoje znaczenie!

W dziwnym stanie różnych przypuszczeń błąkając się dni jeszcze kilka po kanałach, placach i cmentarzach Wenecyi, opuściłem miasto z zamiarem zwiedzenia całych Niemiec. Tak więc, mówiłem sobie, widziałem ducha, rozmawiałem z nim, spełniłem nawet jego życzenie, a na pewność tego wszystkiego miałem w ręku dowód urzędowy o śmierci Salomei.

Wędrówka moja cały rok trwała; rozstrojony moralnie w niezgodzie sam z sobą, wdzierałem się na szczyty Alp, po skałach i urwiskach tak niedostępnych, że za całą podstawę na której stałem był wązki pasek sterczącego kamienia, a pod nim przepaść pławiąca się w chmurze mgły nieprzejrzanej. Szedłem jednak śmiało, narażałem się na śmierć po sto razy, zawieszony pomiędzy niebem i ziemią na szczycie, z którego śnieg nigdy nie znika, zdawało mi się że na skrzydłach silnej woli wzlecę w tajemnicze wyżyny..... myśl jednak spotkania się z widziadłem Salomei nie opuszczała mnie na chwilę. Szukałem go, spodziewałem się ujrzyć po raz drugi tęskniłem, marzyłem, nareszcie czas zatarł wrażenie i zostałem dawnym człowiekiem.

Po upływie roku wróciłem do Londynu, z zamiarem poświęcenia się życiu publicznemu. Przez czas mojej wędrówki zostając w ciągłym rozstroju moralnym, zerwałem wszystkie stosunki z rodziną, przyjaciołmi i znajomemi. Przeszłość smuciła mnie, obecność raziła, przyszłość nie zajmowała, pragnąłem czegoś niepojętego, niewytłomaczonego, czegoś takiego coby zdarło skorupę obojętności ściskającej mnie jak kleszcze tortury, a wróciło do życia i jego rzeczywistości. Praca, pomyślałem, ta mnie skrzepi i ocali: niewolno samobójstwa popełniać ani nagłem przecięciem nici żywota, ani trawieniem wewnętrznego ognia podsycanego szamotaniem niespokojnegó ducha.

Wzmożony moralnie, nawet rozweselony, Londyn zdał mi się z kominami fabrycznemi buchającemi dymem, z gwarem, wrzawą i zgiełkiem ulicznym, jakby innem miastem, porywającem w swe objęcia żeby wykuć ze mnie tryb żelazny w jednej wielkiej fabryce zowiącej się pracą społeczną. Ożyłem, wzmogłem się myślą, podniosłem pragnieniem. Witajcie drodzy! rzekłem do rodziny przyjmującej mnie z okrzykami radości jakby z mar powstałego. Przy was teraz rozpocznę nowe życie.... odrzucam niesforne marzenia, a ślubuję życie czynu, godło przeznaczenia ludzkiego.

Na drugi dzień wybiegłem na miasto, aby odwiedzić przyjaciela mego Turnour'a, który rzeczywiście według wiadomości otrzymanej od niego jeszcze w moich wędrówkach, ożenił się z bogatą Włoszką Aria da Bega. Powitał mnie z serdeczną, szczerą radością, rozmowie naszej nie było końca aż wreszcie wszedł służący oświadczając że pani czeka ze śniadaniem.

Poszliśmy; mieszkanie było przepyszne, urządzone ze zbytkiem prawdziwie magnackim, w stołowym pokoju znajdowała się już gospodyni domu odwrócona od nas w rozmowie z jednym z domowników.

— Przedstawiam ci przyjaciela mego Harcourta Blemta, odezwał się Turnour, z którym razem odbywaliśmy wędrówki po stałym lądzie.

Gospodyni zwróciła się do mnie... osłupiałem, była to znowu Salomea!—ale i ona zdała mi się być nieco pomieszana. Co mówiliśmy przy stole, jak czas ten przepędziliśmy dziś już nie pamiętam, wiem tylko że byłem roztargniony, ona zamyślająca się a przyjaciel mój patrzący na nas jak na jakie dziwowisko. Czyżby duch jej, myślałem sobie, skazany był na wieczne błąkanie się pomiędzy śmiertelnikami? Czyżby to było tylko widziadło Salomei a nie ona sama? Ale przy powitaniu podała mi rękę, czułem jej ucisk, widziałem lica pokrywające się rumieńcem pomieszania, czytałem w nim wyraźnie że wypłynął z przypomnienia sceny cmentarnej, słyszałem niemal przyspieszone bicie jej serca... więc to była ona, ta sama żyjąca i połączona węzłem małżeńskim.

W pół godziny byliśmy znowu sami z moim przyjacielem.

— Mój drogi, powiedz mi co się stało, zapytał, że po przedstawieniu mojej żonie tak nagle zmieniłeś się a prawie osłupiałeś?.

Nie rozumiem tego...

— I ja również nie rozumiem sam siebie. Mam bowiem dowody, że Salomea da Costa umarła w Wenecyi, że została pochowaną tamże na cmentarzu Lido, a jednak widziałem i rozmawiałem z nią nad jej własną mogiłą, i teraz...

— Cicho! przerwał mój przyjaciel, bo lękam się aby przypomnienie to nie okazało się zbyt wrażliwem. Śmierć ojca do tego nagła i niespodziana była dla niej zabójcza. Przejęta zasadami chrystyanizmu w wielkiej przed ojcem przechowywanego tajemnicy wmówiła w siebie, że tajemniczość ta ściągnęła na nią karę sieroctwa i tak tą myślą cała przejętą została, że w rozbujałej bez granic wyobraźni zdało się jej że umarła i że krewna jej blizka, która w tym czasie życie zakończyła, stała się nią a ona w jej osobę zmienioną. Pragnąc ją ratować, rodzina skorzystała z tego wypadku, w urzędzie zameldowano śmierć Salomei, na mogile położono kamień ze sto-

sownym napisem hebrajskim, ale wszystko to naturalnie odbyło się bez obrządku przez chrześcijan przyjętego. Salomea cokolwiek się uspokoiła, ale nie mogła się oderwać od mogiły pokrytej kamieniem z wypisanem swem nazwiskiem. Lękano się jej sprzeciwiać, gdyż na każde wspomnienie o wyjeździe z Wenecyi, wpadała w ponurą rozpacz i stanowczo oświadczała, że chwilę wyjazdu sama naznaczy. Nadszedł nareszcie ten szczęśliwy moment.... powiedziała, że znalazła obcego przechodnia, co przyrzekł odmówienie nad mogiłą modlitwy i postawienie krzyża, dotrzymał obietnicy i tym sposobem uspokoił ją w sumieniu którego męczarnie czuła że ją zabiją. Wywieziono ją następnie do Londynu... przypadkiem znaleźliśmy się w jednem z nią towarzystwie ale już pod przybranem nazwiskiem Ary da Bega. Dziś jestem najszczęśliwszym jej małżonkiem ale ponieważ o tem wszystkiem nigdy nie wspomina, więc i ja milczę... bo lękam się nowego rozdrażnienia. Zmiłuj się, zachowaj tajemnicę i nie zdradź mię.

Przyrzekłem i wiernie dotrzymałem obietnicy, uważałem jednak że Salomea w mojem towarzystwie była zawsze jakby pomieszana, unikała mnie, z oczami stroniła a jeżeli spotkała się z memi spuszczała je natychmiast jakby ze wstydu lub zalęknięcia. Nie chcąc jej robić przykrości odwiedzałem Turnour'a coraz rzadziej, w końcu przestałem u niego bywać zupełnie.

I tak zeszło przy pracy i ogromie zajęcia lat sześć jakby tyleż tygodni: Salomeę widywałem bardzo rzadko, tylko w towarzystwach obcych lub miejscach publicznych, ale zmienioną niewymownie jakby zniszczoną wewnętrzną chorobą na którą lekarze znaleść nie mogli lekarstwa. Całe lata zwykle przepędzała na stałym lądzie, piła wody, kąpała się w leczniczych źródłach, żyła według najściślejszych przepisów hygieny, wszystko nic nie pomagało, widocznie nikła, starzała się i coraz więcej stroniła od świata.

Mąż przyjmował to z początku z troską i widocznem cierpieniem, później z filozoficznem poddaniem się, w końcu... zaczął szukać pociechy w świecie i gdy ona kwasiła się w domu, on rozrywał po za domem we wrzawie życia i przyjemnościach za pieniądz kupowanych. Stanem takim rzeczy niepokoiłem się wielce przewidując najgorsze następstwa, ale były to myśli przelotne czasami mnie tylko napadające. Szczęśliwy w domowem pożyciu, razem z żoną pracujący razem bez wytchnienia przy różnych instytucyach publicznych, gdyśmy po mozole dnia całego znaleźli się razem w naszem domowem ognisku, tak nam było dobrze, tyle mieliśmy z sobą do mówienia o pomysłach, zmianach i ulepszeniach różnych stowarzyszeń do których należeliśmy, o rozszerzaniu ich działalności i wpływie zbawiennym na całą społeczność, że nieraz bezwiednie zagadaliśmy się do północy i dopiero dźwięk zegara przypominał nam o potrzebie spoczynku. Czyż więc był czas i możność zajmowania się sprawami ludzi w odmiennym żyjących świecie?

I tak jak powiedziałem lat sześć upłynęło, gdy niespodziewanie odebrałem bilecik od samej Salomei zapraszający na poradę w interesie jej samej dotyczącym.

Zdziwiłem się wielce tem przypomnieniem tak niespodziewanem — stawiłem się jednak na wezwanie.

W salonie byliśmy sami: ja pulchny i zaokrąglony ona zmizerniała i wychudzona; ja z obliczem pełnym swobody i zadowolenia, ona skwaszona, cierpiąca i rozdrażniona. Była to tylko połowa dawnej Salomei, przypomnienie mgliste tej wspaniałej i uroczej postaci, która mnie tak oszołomiła a przyjaciela mego przykuła do stóp jej tronu. Z żywością poruszyła się na moje przyjęcie, wskazała miejsce blisko siebie, a potem z małego flakonika perfum kilkoma kroplami potarła czoło.

— Jeżeli pani słaba, rzekłem, przyjdę później...

— Nie, jestem niby zupełnie zdrowa, a przynajmniej czuję zapas znaczny sił żywotnych ale trapi mnie stan dziwnego zniechęcenia, który odbiera mi wszystko... nawet miłość męża, dołożyła ciszej.

— Może zdaje się pani.

Salomea potrząsnęła głową z przeczeniem a potem biorąc za rękę, rzekła:

— Słyszałem, że stan taki znany panu z doświadczenia, że byłeś zniechęcony życiem, zerwałeś z ludźmi...a jednak dziś wszystko to minęło i podobno jesteś bardzo szczęśliwy.

— Tak pani, o ile nim człowiek może być na ziemi.

— Cóż cię wyratowało z tak okropnej choroby? Poradź mi, naucz, ratuj nieszczęśliwą która ginie męką duszy i serca tracącego miłość ukochanego. Wskaż lekarstwo a użyję go bez namysłu.

— Jam nie doktór pani, a lekarstwo jakie dla mnie tak się skutecznem pokazało, z apteką nie ma nic wspólnego.

— To mnie mało obchodzi, choćby było czarodziejskim napojem zaklętym, nawet przeklętym a użyję go. Powiedz co to za lekarstwo?.

Wpatrzyłem się bacznie w zarumienione oblicze Salomei, policzki jej drżały, oczy pałały, odrzekłem więc bez wahania.

— Tem lekarstwem jest...praca dla społecznego dobra. Poświęć się jej pani a za skutek zaręczam.

— Domyśliłam się tego, zawołała Salomea zakrywając oczy. Ale dla mnie już czas minął.

— Nie dzielę tego zdania, zawsze lepiej późno jak nigdy.

I znowu dwa lata minęło, a imię pani Ary Furnour przez ten czas coraz częściej obijało się o moje uszy. Widocznie czynniejsze prowadziła życie, a wiele razy zszedłem się z mężem ten mi zawsze udzielał jakieś wiadomości o niej, czego dawniej nie robił. Zdziwiło mnie to, i raz żartując rzekłem:

— Mój drogi, w roztrzepanem życiu jakie prowadzisz, widocznie lękasz się podsłuchania lub podpatrzenia przez twą żonę szaleństw i wybryczków spełnianych zapewne dość często...

— Zkądże tak niekorzystny dla mnie wniosek?

— Wszak co w myśli to i w mowie.

— Częste więc wzmianki o mej żonie miałyby z obawy pochodzić?

— Tak mi się zdaje.

— Otóż się mylisz najzupełniej.

— Być może.

— Ale nie być może, tylko tak jest z pewnością a na dowód powiem ci otwarcie... tylko się nie śmiej... że znowu w żonie mej jestem zakochany i tak się staram o jej serce jak niegdyś.

— Czyżbyś je stracił?

— Sam nie wiem jak to było... ale był czas że ja jakoś świat polubiłem. Były wymówki, spazmy, łzy i westchnienia, żona jęczała, bolała, ratowała się różnemi lekami, a ja... no, przecieć nie mogłem razem z nią karmić się receptami i poić wodami. Wtenczas to zdaje mi się żem jakoś mało myślał o żonie.

Ona przez zemstę zapewne na przeciw mnie wystawiła armiją głupców nie znających abecadła, rozumnych nie umiejących sobie radzić, niedołęgów niezdolnych do pracy, szeregi sierot, wdów, dziewcząt bez chleba, chłopców bosych bez surduta, schorzałych bez dachu i tak się niemi zaprzątnęła od rana do nocy a często i w nocy nad listami i rachunkami, że nawet zdawała się nie wiedzieć, czy jestem w domu a nawet żyję. To mnie obraziło, bo opuścić to co innego ale zostać opuszczonym... ho—ho! to sprawa drażliwsza! Więc znowu z oczami do żony... ale ani spojrzenia w zamian. Ja z grzecznościami... ona milczy... ze wspomnieniami... to samo milczenie. Występuję więc z prawami... na próżno — skała twardsza jak brylant. Co tu robić myślę sobie? Więc dalej do owej zgrai pupilów mojej żony: dozoruję szkółki, nieradnym radzę, niedołęgom wynajduję zajęcia, sierotom ojcuję, dziewczęta biedne karmię, chłopców bosych naganiam do pracy, schorzałych ratuję i...

— I cóż? zapytałem widząc że umilkł nagle.

— A i nie jestem najniższym sługą mej małżonki, zaledwie ciurą w wielkim obozie którym otoczona mną się nic nie zaprząta.

— A czy zdrowa teraz?

— Jak ryba a jaka ładna!

— A usposobienie jej weselsze nie takie jak dawniej?

— Nie poznałbyś jej nawet. Zapomniała o wszystkich chorobach na świecie i tylko zdaje się jednej ulegać...

— Zapewne, przerwałem, owej cmentarnej?

— Ale gdzie tam, śmieje się ze swego szału i dziś całą jej chorobą jest wieczne narzekanie na brak czasu, czyż to nie nowe znowu przywidzenie?

Kiedy wkrótce po tej rozmowie spotkałem się z Salomeą i jej mężem, przy powitaniu uścisnęła mi serdecznie ze znaczeniem rękę mówiąc:

— Dziękuję... za lekarstwo!

— Prawda, jaka ona śliczna! szepnął do mnie mąż z uszczęśliwieniem spoglądając na żonę.

Korespondencya zagraniczna ze Lwowa.

Nie jestto ani rzecz przyjemna ani nawet wygodna wracać do tematu raz już dotkniętego a w dodatku wcale smutnego. W takiem położeniu znajduje się wasz korespondent, gdyż szczerze zależy mu na tem, ażeby nie pozbawić się względów łaskawych czytelników, a mimo to obowiązek każe mu zacząć od tego, na czem skończył ostatni list, t. j. od niepokojących objawów ekonomicznej klęski, która w kraju naszym powoli zaczyna coraz więcej się rozszerzać Niedostatek, nawet formalny głód grasuje między ludnością wiejską w Galicyi już dzisiaj w stopniu tak zatruwającym, jak w latach średniego nieurodzaju dopiero w maju i czerwcu t. j. w porze najdotkliwszego przednówku. Włościanin nasz już dawno sprzedał za bezcen bydło, którego dla braku paszy nie mógł przezimować, a ze zboża nie zostało mu nawet na zasiew. Nie ma on zatem wśród obranej niedoli nawet tej pociechy, że przyroda, która w jednym roku zawiodła boleśnie wszystkie jego rachunki gospodarskie, powetuje mu w następnym sowicie doznane dolegliwości. Jeżeli nie ma zboża na zasiewy i bydła na zasiewy roli — to najpiękniejsza wiosna, najstalsze lato i najłagodniejsza jesień nie podźwigną rolnika z dzisiejszego opłakanego położenia. Srogą musi być nędza ludu galicyjskiego, skoro zazwyczaj tak niełaskawa dla nas wiedeńska Rada państwa z pośpiechem godnym wdzięczności uchwala wniosek rządowy ofiarujący Galicyi ze skarbu państwa 200,000 złp. jako bezzwrotną zapomogę, pół milijona jako bezprocentową pożyczkę. To wsparcie pań-

stwa, które sejm uzupełni może do całego milijona, jest prawdziwem dobrodziejstwem i jeżeli szybko zamieni się w czyn, może ocalić gospodarstwa włościjańskie od ostatecznej ruiny, nad którą lichwa niepraktykowana w takim jak u nas stopniu, może na całej kuli ziemskiej, pracuje już tak długo i wytrwale. Godnym wspomnienia jest fakt, że Polacy uczęszczający na uniwersytet wiedeński, przyczynili się w swoim zakresie do ulżenia niedoli kraju rodzinnego, bo urządzili pod protektoratem Arcyksięcia Karola Ludwika bal, który świetnie wypadł i przysporzy funduszom zapomogowym kilka tysięcy. Na szczęście wiosenny wylew rzek nie sprawił w tym roku takich spustoszeń jak przed kilku laty. Dziś spustoszenia chociaż mniej dotkliwe, dają się tak samo uczuć jak w najgorszych latach, bo kto tak mało ma do stracenia jak my, ten podwójnie ubolewać musi nad każdym świeżym uszczerbkiem. Cesarz z prywatnej szkatuły ofiarował dla dotkniętych powodzią galicyjskich okolic 5,000 złr. chociaż równocześnie straszny wylew Dunaju w Węgrzech wymagał od niego nierównie znaczniejszej ofiary.

Jak ludowi wiejskiemu brak paszy i zboża, tak miejskiej ludności stagnacya handlowa i brak zarobku dokucza niewymownie. To co pisałem w ostatnim liście o bankructwach lwowskich, było rzeczywiście tylko wstępem do przykrego przesilenia w naszym świecie kupieckim i handlowym. Jakby za danem hasłem upadają firmy kupieckie, które jeszcze niedawno głos ogółu nazywał przedsiębierstwami mądrze założonemi i uczciwie prowadzonemi. W kilku najokazalszych sklepach można czytać plakaty, że odbywa się tam zupełna wyprzedaż towarów po cenach niesłychanie nizkich. Jest to sprzedaż przymusowa, następstwo już ogłoszonego lub w powietrzu wiszącego bankructwa. Wierzyciele upadających firm pragną ocalić bodaj mały procent swoich pretensyi, więc zgadzają się chętnie na sprzedaż towarów po jakiejkolwiek cenie. Już to trzeba się uderzyć w piersi i przyznać, że bankructwa te nie są wyłącznem następstwem zubożenia i niejako elementarnych wypadków ekonomicznych, lecz w pewnej części idą na karb niewłaściwego postępowania naszej publiczności. Faktem jest, że bankructwa namnożyły się dopiero od czasu, gdy wiedeńscy kupcy otworzyli we Lwowie dwa tanie bazary, sprzedając rozmaite towary za nizkie ceny, które w anonsach na żart zakrawają a mimo to są prawdziwe. Publiczność lwowska tłumnie zaczęła zwiedzać te bazary, kupując w nich najrozmaitsze przedmioty za kilkanaście lub kilkadziesiąt centów w przekonaniu, że za ten sam towar wypadłoby jej zapłacić w porządnym sklepie miejscowym dwa razy tyle. Szczególnie naszym paniom zaimponowały nizkie ceny, bo jest to już taka natura nasza, że tanio nabyty towar cieszy więcej niż dziesięć razy lepszy i trwalszy, a mimo to tylko o połowę lub trzecią część droższy. Że w towarach bazarowych zachodzi taki stosunek między nią a wartością w porównaniu tego samego rodzaju towarami porządnych sklepów miejscowych, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Bazary wiedeńskie częstują publiczność lwowską po prostu odpadkami fabrycznemi, materyałem tak tandetnym, że porządny kupiec dbający o trwałą reputacyę, nie odważyłby się pokazać coś podobnego swoim gościom. Każdy kupiec lwowski mógłby zniżyć ceny o połowę, jeżeliby za przykładem bazarów wiedeńskich, dawał gościom zamiast dobrego towaru liche wybierki i odpadki fabryczne. Dziennikarstwo dość wcześnie tłomaczyło to publiczności, ale pomimo przestróg bazary robiły i robią tak świetne interesa, że w niejednym dniu wysyłają swoim pryncypałom do Wiednia po kilkaset złotych. Sprawdzono to w urzędzie pocztowym i zaznaczono w dziennikach, ale wątpimy, ażeby teraz przestroga okazała się skuteczną. Dopiero gdy doświadczenie nauczy rozumu każdego protektora bazarów z osobna, wiedeńscy szarlatani wyjadą do Wiednia z pełnym trzosem, a tymczasem jeszcze kilka porządnych sklepów będzie musiało ogłosić upadłość.

Wiele wrzawy przed miesiącem narobiła jedna sprawa, która nie powinna była rozejść się po za granice Lwowa, a w skutek nie taktownego postępowania dzienników zaprzątała długo umysły i kto wie, czy ostatecznie nie skompromitowała nas mocno w obec zagranicy. Streszczam rzecz całą krótko, bo dla Warszawy szczegóły nie będą ciekawemi. Sejm postanowił wystawić pałac dla siebie i dla wydziału krajowego, który jako organ wykonawczy miał się zająć wyszukaniem gruntów, planów i przedsiębierców. Nabyto grunt bardzo dobry i rozpisano konkurs na plany z czterema nagrodami, z których najwyższa wynosiła cztery tysiące złotych, a najniższa półtora tysiąca. Ponieważ przesilenie pieniężne panujące od kilku lat w Niemczech, zatamowało tam znacznie ruch budowlany, więc dla architektów pozbawionych zarobku nagroda galicyjska była bardzo pożądaną. Z tego powodu udział w konkursie był bardzo liczny i prześcignął wszelkie oczekiwania. Osobny komitet złożony z ludzi poważanych i w zawodzie budowlanym lub artystycznym fachowo wykształconych zajął się zbadaniem planów. Gdy zgodzono się na rozdział nagród i już zapadła stanowcza uchwała, otworzono koperty z nazwiskami nagrodzonych architektów. Pokazało się, że wszystkie plany nagrodzone są dziełami wiedeńskich artystów. Nie powinno to było nikogo tak mocno dziwić, bo kto ma wyobrażenie, jakie kolosalne i wspaniałe budowle powstawały w ostatnich latach w Wiedniu jak grzyby po deszczu, kto się zastanowił nad tem, że Wiedeń jako najokazalsze po Paryżu miasto, jest wyborną szkołą dla architektów, ten mógł z góry przewidzieć wynik konkursu. Ale znalazł się dziennik, który ku powszechnemu zdumieniu ostro skarcił komitet znawców dla tego, że nie nagrodził planów polskich. Rozumielibyśmy ten zarzut, gdyby opierał się na różnicy w zdaniach wartości tego, lub owego planu. Ale bez tej podstawy zarzut był wcale niestosownym i niedorzecznym. Komitet nie mógł wiedzieć, który plan jest dziełem wiedeńskiego lub polskiego artysty. Koperty z nazwiskami rozpieczętowano dopiero po wydaniu uchwały a przedtem nie pozwalały stawiać innych domysłów, bo właśnie artyści niemieccy a przynajmniej niektórzy z nich usiłowali swojskiemi oznakami zamaskować narodowość własną. Czyż miał komitet dopuścić się niesprawiedliwości i otwierać koperty przed powzięciem uchwały wbrew wyraźnemu warunkowi konkursu? Nie rozumiem zresztą, jakąby to nam satysfakcyę sprawić mogło, jeżeliby otrzymał nagrodę plan lwowski lub krakowski jedynie dla tego, że pochodzi od Lwowianina lub Krakowiaka. Szkoda, że pieniądze na nagrody przeznaczone utoną w kieszeniach wiedeńskich, ale za to cztery piękne plany pozostaną własnością kraju i nikt nam tego nie zarzuci, że jesteśmy niesprawiedliwi. Kto chciał zapobiedz takiemu wynikowi konkursu, powinien był wcześnie zapronować, ażeby wykluczono obcych architektów. Rzecz zatem przedstawia się całkiem jasno, a jednak zanim w oczach ogółu na tem stanowisku stanęła, trzeba było znieść tuzin dziwacznych artykułów, szereg niedorzecznych insynuacyi i w dodatku połknąć szydercze uwagi prasy niemieckiej o konfuzyi galicyjskiej.

Dnia 27 lutego kilkunastu tysięczny orszak odprowadził zwłoki ś. p. Seweryna Goszczyńskiego na cmentarz Łyczakowski. Na grobie wygłoszono kilka mów podniosłych i tu po długiem milczeniu ozwał się Kornel Ujejski. Już teraz zaczynają wpływać składki na pomnik i sądząc z sympatyi, jaką u nas posiadał zmarły poeta niezadługo zbierze się fundusz potrzebny. Przyczynią się do tego zapewne pisma pośmiertne, które znaleziono w tece ś. p. Seweryna Goszczyńskiego. Jest to chwalebny czyn naszego społeczeństwa, żę pozwoliło sędziwemu poecie przeżyć kilka lat ostatnich bez wszelkich trosk i kłopotów. Zaraz po wojnie francuzko-niemieckiej zaproszono ś. p. Goszczyńskiego z Paryża do Lwowa i tak szczęśliwie powiodło się zapewnić mu spokojną egzystencyą, że na niczem nie zbywało sędziwemu poecie. Przed rokiem obchodzono we Lwowie jubileusz literacki ś. p. Goszczyńskiego, który stanowił wspaniałe uznanie zasług. Takiego uznania nie doczekał się żaden z wielkich rówieśników ś. p. Goszczyńskiego na niwie poetyckiej. To krótkie wspomnienie o pogrzebie wystarczyć powinno zupełnie w ramach korespondencyi, która żadną miarą wdawać się nie może w ocenianie literackiego stanowiska poety, już za życia wszechstronnie ocenionego w historyi literatury.

W pierwszych dniach marca zmarł tu sędziwy aptekarz ś. p. Teodor Torosiewicz osobistość bardzo sympatyczna i wysoko ceniona. Ś. p. Torosiewicz był znakomitym chemikiem, badaczem i znawcą zdrojowisk krajowych, a jego prace naukowe w tej gałęzi stanowią ozdobę literatury fachowej. Zawód aptekarski traktował ś. p. Torosiewicz z sumiennością, na jaką zdobyć się może tylko człowiek gorąco oddany umiejętności. Jego apteka uchodziła we Lwowie za wzorową i więcej zakrawała na zakład naukowy niż na zyskowne przedsiębierstwo. Ś. p. Torosiewicz dożył sędziwego wieku; a mimo to do ostatniej chwili z niestrudzonem zamiłowaniem oddawał się swojej nauce, śledził każdy objaw na tem polu i brał żywy udział w bieżącym ruchu naukowym.

(d. n.).

Przegląd literacki.

Listy Julijusza Słowackiego do matki z lat 1830 do 1835. Lwów 1875.

Nieznaczna to tylko cząstka korespondencyi wielkiego poety, która przechowana do naszych czasów, dostała się do rąk profesora Małeckiego. W wydanem przed kilkoma laty dziele o życiu i pismach Słowackiego p. Małecki zrobił użytek z będącej w mowie korespondencyi i wszystko, co w niej jest ciekawszem i ważniejszem, przytoczył w dosłownych wyjątkach. Dla tego napotkaliśmy tu wiele rzeczy już znanych; że jednak owa praca p. Małeckiego bardzo mało jest u nas rozpowszechniona, a bodaj że znana tylko ze sprawozdań w korespondencyach, a nawet i w ogóle o bijografji Słowackiego—którego na czas jakiś przypomniał dzisiejszej generacyi wystawiany na scenie Teatru Mazepa — publiczność nasza wie bardzo mało, dla niej więc i niniejsza książka będzie bardzo zajmującą i pełną nieznanych szczegółów o tej zgasłej przedwcześnie wielkiej osobistości, obdarzonej olbrzymim talentem i dzielnym charakterem.

Julijusz Słowacki (ur. 1809 r.) połowę swego życia od 1830 r. aż do śmierci zaszłej w 1849 r. spędził za granicą. Książka, o której mówić zamierzamy, obejmuje jego listy do matki z okresu pierwszych lat pięciu, pisane z Paryża, z Anglji i ze Szwajcaryi. Czy listy poety z lat późniejszych znajdą się kiedy i wyjdą na świat, niewiadomo. Tymczasem musimy poprzestać na tej szczupłej cząstce, malującej za-

wsze, choć niezupełnie, charakter i rozwój talentu poety.

Rozpoczyna zbiorek jedyny list pisany jeszcze z Warszawy przed wyjazdem za granicę pod datą 15 września 1830 r. Poświęcony on głównie opisowi odwiedzin Juliusza u starego Niemcewicza, który podówczas mieszkał w swoim Ursynowie pod Warszawą! Ambitny młodzieniec od dzieciństwa już marzył o tem, żeby zostać wielkim poetą i wówczas już czytywano jego utwory w rękopiśmie, choć nic jeszcze nie drukował. Tragedya „Mindowe“ była już napisaną i część jej czytał Słowacki Niemcewiczowi w Ursynowie. Zjednał tem sobie staruszka, który z początku przyjął go był nieco ozięble. Słowacki, który nie gardził pochwałami i w początkach swego zawodu owszem bardzo ich łaknął, chlubi się przed matką z pochwał Niemcewicza.

Następny list, pierwszy z zagranicy, datowany z Wrocławia. Wiadomo że Słowacki wyjechał nagle bez widocznej przyczyny: żałował też tego nieraz i w jednym liście z Drezna powiada: „trzeba iść do wojska, miałem aż nadto do tego chęci. Los jakiś rządzi moją karyerą i widzę iż zawsze mi będzie na przeszkodzie stawał.“ O przyczynach wyjazdu Słowackiego rozmaicie i niezawsze przychylnie mówiono, czasem nawet sam burzliwy poeta gardził sobą i narzekał że nieosobliwą pamięć po sobie zostawi. Wiele w tem wszystkiem było zapewne urójeń i przywidzeń. W zwątpieniu o sobie, ale z nadzieją przyszłości, pisze poeta do matki: „Mamo moja, nie gadaj teraz przed nikiem o mnie, aby mnie teraz zapomniano; potem może znajdę sposób zyskania szacunku w moim kraju. Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte, ale przyjdzie chwila!“

Słowacki zawsze był pewny przyszłej swojej chwały i stale do niej dążył. W Dreznie spotkał się z Odyńcem i innymi rodakami. Ztamtąd niespodzianie ruszył do Paryża i Londynu. Londyn i Anglicy podobali się Słowackiemu, lecz Paryż i Francuzi epoki Ludwika Filipa wydali mu się wstrętnemi; w pierwszych widział więcej prawdy i naturalności, w drugich—sztuki i przesady. Narzeka na czczość przedstawień teatralnych, wyłącznie wówczas schlebiających próżności i chwale narodowej: w każdej niemal sztuczce musiał występować „bey algierski“ którego w owych czasach Francuzi zwyciężyli. W ogóle w listach z Paryża mówi o wszystkiem: o obrazach, literaturze i t. d. z odcieniem sarkazmu i ironji. Stan swojej duszy tak maluje: „Wszystkiemu złemu sam jestem winien, wszystko mnie znudziło, musiałem wszystko porzucić i gonić jak waryat za urojoną nieśmiertelnością; nieszczęśliwe to jest skierowanie moich myśli w dzieciństwie. W dzieciństwie, kiedy byłem egzaltowanie nabożnym, modliłem się do Boga często i gorąco, ażeby mi dał życie jak najnędzniejsze, żebym był pogardzany przez cały wiek mój i tylko za to żeby mi dał sławę nieśmiertelną po śmierci. Widząc teraz, jak się skierowały wszystkie okoliczności i uczucia moje, widzę wyraźnie i czasem przekonany jestem, że jakaś nadprzyrodzona moc pochwyciła me dziecinne prośby i dotrzymała mi układu.“

W Paryżu Słowacki zaczął doświadczać czasem kłopotów pieniężnych i dla ulżenia im rozpoczął pisać po francuzku powieść z życia polskiego, o której tak pisze: „Scena na Ukrainie; głównemi osobami są ś. p. szlachcic, co obchodził święta Cerery (Marchocki) i drugi co podróż do Turcyi czy do Arabji odbywał (Rzewuski) a trzeci geometer Szantyr. Wszystko sprzężone z wielu fikcyami i z długiemi rozmowami w guście tegoż autora i Niemcewicza i w guście Polaków i t. d.“ Romans ten pozostał niedokończonym.

Hymn „Bogarodzica“ i oda po francuzku napisana powiększyły sławę poety, a w marcu 1832 roku zajął się drukowanien swoich poezyi w drukarni panien Pinard. Przy tej sposobności zawiązał ścisłą przyjaźń z najmłodszą z panien—Korą Pinard, ale choć z początku nie było mu to niemiłem, zerwał potem kapryśnie ten stosunek. Wbrew literackim zwyczajom, Słowacki, jak sam powiada, gorliwie uczestniczył w rozmaitych zabawach i z powodzeniem odegrywał rolę angielskiego dandy albo francuzkiego Petit-maître: „przyznam się wam—pisze—że to lubię; staram się, żeby nikt nie odgadł wieczorem, czem ja jestem zrana, a z rana—żeby nic z wieczornej *fatuité* nie zostało.“

Sypane sobie pochwały Słowacki skrzętnie notuje: pisze raz że Skibicki nazwał go polskim Bajronem, to znowu przytacza pochwały Platera i Lelewela, który go raz uczcił mianem „największego z poetów polskich.“ Zresztą sam o Lelewelu, odzywa się z przekąsem, nazywając go „chwasty u butów“ (gdyż takie nosił obuwie). Na jednem z publicznych zebrań, któremu przewodniczył Lafayette, Słowacki deklamował odę, którą tak zakończył:

Ja będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce...
Tak Egipcyanin w liście aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce.
Na liście pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż tym liściem serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie...Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemne odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu—na dnie.

Zbyteczną zarozumiałość swoją powściągał Słowacki nauką z poznania niejakiego księdza Paniewicza poczerpniętą: ten ksiądz był poetą w guście ks. Baki i sam śpiewał swoje liche rymy przy fortepianie. „Ksiądz sądzi — pisze Słowacki — iż jest wielkim poetą, pochwały nasze utwierdziły go w tem mniemaniu, była to jednak dla mnie scena pouczająca, aby mniej ufać miłości własnej, mniej pochwałom cudzym, scena bardzo potrzebna, bo czy uwierzycie że dowiedziawszy się o śmierci Getego, pomyślałem sobie, że Pan Bóg go wziął z tego świata aby dla mnie, wydającego poezye, zrobić miejsce na tym świecie.“

W kwietniu 1832 r. wyszły nakoniec z druku Poezye Julijusza Słowackiego w dwóch tomach. Zawierały się tu powieści poetyczne: Jan Bielecki, Hugo, Mnich, Arab, Żmija i dwa dramata: Mindowe i Marya Stuart.

Z tryumfem donosi Słowacki matce o wydrukowaniu swych dzieł, przesyła jej 13 egzemplarzy dla rodziny z podpisami własnoręcznymi, których „nie chciałby pospolitować“ i zarazem donosi że jego nazwisko już figuruje obok nazwiska ojca (profesora Euzebiusza Słowackiego) w „Biographies Contemporaines“ że mają już pisać o nim w Encyklopedyi i że pan Lemaitre zaraz wziął się do przetłómaczenia niektórych z jego utworów na język francuzki. Drukował Słowacki własnym nakładem, który wynosił 2000 franków; w handlu księgarskim sprzedawano oba tomiki za 18 złotych czyli dukata.

Krytyka, dość przychylnie przyjęła pierwsze te utwory Słowackiego jak o tem sam matce donosi. Tak np. pisze: „*Żmija* zdaniem mojem i wszystkich jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najsławniejszych naszych krytyków powiedział o mnie przeczytawszy Żmiję; że cały naród ożył w pieśni, że tam, gdzie inni z murów cegiełki dobywali ja całe mury wzniosłem. Cieszy mię, że Żmiję wszyscy znajdują najlepszym, bo to mój ostatni poemat. Widać więc, że postępuję i kształcę się.“

Do Mickiewicza żywił Słowacki pewną niechęć już to—rzecz smutna, lecz prawdziwa — przez zawiść literacką, gdyż nie chciał uznać jego nad sobą wyższości, już to dla innych powodów prywatnych, które później jeszcze się spotęgowały gdy Mickiewicz w jednym ze swych utworów niezbyt korzystnie wspomniał o d-rze Becu, ojczyznie Słowackiego. Rozterki z tego ostatniego powodu po części zmusiły nawet Słowackiego do opuszczenia Paryża. Nim to jednak nastąpiło, Słowacki zapoznał się z Mickiewiczem czyli raczej odnowił dawną z nim znajomość. „Mickiewicz przyjechał do Paryża pisze poeta do matki — ale nie pójdę pierwszy do niego, jeśli się zechce poznać ze mną, to dobrze.“

(*d. n*).

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Rufinie A. w Tambowie. Małej uczennicy Wali odpowiedzieliśmy w Przyjacielu, ale że odbiera go dopiero w całorocznym komplecie, nie prędko więc o tem się dowie. Zdaje się nam że lepiej jest dawać dzieciom co tydzień wychodzący numer do czytania jak odrazu tom całoroczny. Numerami bowiem odbierając dziecko co tydzień ma świeżą rozrywkę i tym sposobem przyzwyczaja się do niej i pilniej czyta. Dar jednej książki raz na rok dokonany, tej korzyści nie przynosi, jeżeli zaś Tyg. Mód dochodzi regularnie dla czegóżby Przyjaciel nie miał również bez szkody do Tambowa przychodzić.

Panu Mieczysławowi J. w B. Radzibyśmy ale to od nas nie zależy. Prostoty nie wyłącza prawdziwa poezya tylko nie znosi pospolitości i zbyt brutalnych porównań i wysłowień. Dziś o prawdziwą poezyę trudno, zdarzają się jej objawy, słabe pobłyski talentu, ale nie ona sama w całej pełni swej potęgi. W wieku lgnącym więcej ku światu jak dziedziny ducha, poezya musi karłowato wyrastać. Jaki grunt taka roślina.

Pani Sewerynie W. we Wrzosach. Sprawunki już przesłane zostały; o fortepianie doniesiemy natychmiast jak tylko odpowiedni upatrzony zostanie.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

Sprostowanie.

W zeszłym Numerze Tygodnika na stronnicy 127 w szpalcie 1-ej wierszu 35 od dołu, zamiast: „przedmiot z natury suchy i *niedołężny*,“ czytać należy: „przedmiot z natury suchy i *niedostępny*.“

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 29 Февраля (12 Марта) 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N 12.

N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia z paletotem.

Półwcięty, długi paletot szyfrowego koloru, z materyału przerabianego w prążki daje się dopasować podług kroju załączonego w N-rze 46 z roku przeszłego przy ryc. 32—33. Plecy krają się w całej długości i liczą 110 cent. dolna ich szerokość 80 cent. wynosi. Szerokie obłożenie u dołu, przy rękawach i kołnierzyku, zakończone wypustką i wielka szarfa zdobiąca plecy paletota jest z czarnego repsu. Kapelusz filcowy szyfrowego koloru, przybrany matowo szafirową wstążką i takiemże piórem ma rondko obszyte czarnym aksamitem i podpięte z tyłu kokardą.

N. 2. Suknia z vêtement.

Spódnica z materyi jedwabnej ciemnego koloru dopełniona jest czarnem aksamitnem vêtement na jedwabnej podszewce, zdobnem koronką i pasmanteryą. Przybranie spódnicy składają plisy aksamitne, dane naprzemian z wązkiemi jedwabnemi; u dołu idzie szerokie plisowanie.

N. 3 i 13. Kosz na drobiazgi lub negliżyki.

Pleciony jest ażurowo z trzciny i powleczony wewnątrz kolorową materyą przykrytą pasami roboty szydełkowej z torsadką, której próbkę podaje ryc. 13. Riusze 3 cent. szerokie dopełniają przyozdobienia.

N. 4 i 22. Fartuszek oszyty ząbkami z tasiemeczki.

Składa się ze ściętego środkowego bryta i dwóch skośnych klinów; długość wynosi 65 cent., szerokość u dołu 56 a w górze 18 cent. Napierśnik wymaga kawałka materyału 14 cent. szerokiego, a 15 długiego, z boków ściętego skośnie a u góry wząb. Końce do wiązania liczą 56 cent. długości, u góry 3 u dołu 6 cent. szerokości. Brzegi fartuszka zastębnowane w wązki obrąbek ozdobione są szlakiem z tasiemeczki w ząbki którego próbkę załącza ryc. 22.

N. 5. Fartuszek z plisowaniem.

Cienki półbatyst stanowi materyał na fartuszek 40 cent. długi i dopełniony 23 cent. plisowaniem, oszytem koroneczką; nagłówek drobniutko składany oddziela haftowana wstawka. Boczne brzegi i kieszonki po 9 cent. szerokie są także oszyte plisowaniem. Napierśnik składa się z części środkowej 7 cent. długiej, 11 w górze a 8 u dołu szerokiej i z szelek dodanych z boków po 23 cent. długości, złożonych ze wstawki i plisowania.

N. 6—10. Ścieg gobelinowy szwedzki.

Na powyżej wskazanych rycinach przedstawiamy czytelnikom naszym wzór nowej roboty, która wymaga uwagi i akuratności ale za to stanowi bardzo efektowne przyozdobienie na portyjerach, firankach, serwetach, pasach na meble i t. p. Jest to szwedzki ścieg gobelinowy który odrabia się na grubym repsie odpowiednim do pokrycia mebli. Rycina 6 załącza wzór ściegu gobelinowego w naturalnej wielkości, z niej widzimy jak ścieg ten prostemi liniami odznacza różne desenie na tle repsowem. Ażeby robota była równą i akuratną najlepiej główne kontury wywieść na tle nitką białą, a deseń odrobić podług wzoru liniami wyszywanemi poprzecznie, odpowiednio do prążków w repsie. Do wyszycia używa się włóczka angielska, filozela lub włóczka cieniutka złożona we dwoje. Jak to widać na ryc. 7—10 ściegi obejmują po trzy prążki repsu; najmniejszy kwadracik w deseniu liczy ośm ściegów. Ściegi wypadające w deseniu jedne pod drugiemi, robi się w jednym ciągu jak na ryc. 7, ściegi zaś wypadające przy sobie robią się pojedynczo jak na ryc. 9; na ryc. 8 wskazane są ściegi robione jedne przy drugich i jedne pod drugiemi. Rycina 10 wskazuje lewą stronę roboty.

Deseń jaki w naturalnej wielkości podajemy na ryc. 6 załącza czwartą część arabeski wyszytej na portyjerze rycina 23. Na tle z ponsowawo brązowego repsu brzeżne linje szlaku są brązowe, mniejsze arabeski odrobione kolorem rezedowo zielonym. Linje przecinające są blado-żółte a boczne figury są wyszyte jasno ponsową filozelą.

N. 11—12. Dwie wszywki wywodzone na tiulu.

N. 14—15 i 24. Czepek ranny. Robota szydełkowa i torsadka na widełkach.

Materyał: nici na szpulce Nr 70 i odpowiedniej grubości jedwab niebieski, takaż wstążka 4 i 6 cent. szeroka i 4 cent. szeroka koronka.

Torsadka na widełkach bardzo szeroko otwartych, odrobiona z cienkiego materyału i spajana w paski robotą szydełkową jak to wskazuje ryc. 14, tworzy jakby tło gipiurowe, stanowiące denko czepeczka załączonego na rycinie 24. Taki rodzaj roboty daje się zastować do chusteczek, wszywek do bluzek, vêtement i t. p. Próbka torsadki przerabianej dwoma o śc., którą załącza ryc. 15 jest już znaną czytelniczkom. Denko czepeczka mające kształt owalny liczy 40 cent. długości a 32 szerokości i spojone jest z dziewięciu pasków torsadki, naprzemian białych i kolorowych. Po skończeniu denka dodaje się niebieski pasek otaczający brzegi który złączony jest z denkiem rzędem długich sł., przez które przewłóczy się wstążka niebieska; kokardy dodane są z wstążki 6 cent. szerokiej.

N. 16—17. Deseniki do wyszycia na kanwie panama.

N. 18 i 19. Wstawka i kwadracik z plecioneczki w ząbki.

Odpowiednie do przyozdobienia bielizny, spajane są z plecioneczki w ząbki i kwadracików webowych kratką koronkową.

N. 20. Ząbki szydełkowe do prześcieradeł i t. p.

Zaczynają się od 27 o. pow., dalej robi się 1 sł. w 22 oczko i 7 sł. przedzielanych 2 ocz. pow. Słupki te stanowią środek każdego ząbka; po słupku zrobionym na końcu następują 4 o. śc., dalej w odstępie między pierwszym a drugim słupkiem robić 3 o. pow., 3 sł., 5 o. pow. i znów 3 sł. Między 3 i 4-tym, 5 i 6-tym 7 i 8-ym słupkiem robią się 3 sł., 5 o. pow. i znów 3 sł. Po ostatnich trzech słupkach na dolne brzeżne zakończenie robi się trzy razy po 8 o. pow. spojonych w kółeczko i obrobionych 7 o. śc.; 3 słupki stanowią przejście do drugiej połowy, którą odrabia się tak jak pierwszą. Po ostatnich 3 sł. robi się 1 o. śc. w pierwsze z czterech o. śc. zaczynających ząbek a następnie daje 9 oczek pow. jako połączenie z następnym ząbkiem. Ząbki między sobą łączą się za środkowe z pięciu oczek pow. rozdzielających słupki jak to widać na rycinie 20.

N. 21. Kwadrat robotą szydełkową do kołdry lub t. p.

Nie raz już opisywaliśmy szczegółowo podobne kwadraty, wykonanie więc znane jest czytelniczkom. Tło dziś załączonego wzoru składa się z oczek śc., cztery odznaczające się zęby robione są ściegiem pikowym a gałązki rozdzielające na krzyż kwadracik są ze sł. trzy razy nawijanych, których robotę objaśnia ryc. 21. Ścieg pikowy zależy na tem, iż jedno oczko śc. zajmuje się przez obie górne nitki oczka poprzedzającego rzędu a drugie robi się jak zwyle tylko przez tylną górną nitkę. Prawie zbytecznem jest dodawać że kwadrat zaczyna się od środka 8 oczkami, a na czterech rogach przybiera zawsze po 3 oczy.

N. 23. Kapotka dla małej dziewczynki.

W kapotce której podstawa dopasowana jest podług jakiejkolwiek formy odpowiedniej do główki, zasługuje na uwagę denko przykrojone w jednym ciągu z karczkiem, w środku przecięte i odsłaniające kolorową podszewkę. Jak to rycina 23 wskazuje denko wzdłuż przecięcia przefałdowane jest w dwie bufy, z nagłówkami z brzegów środkowych. Biała materya, kaszmir, pika stanowią zwierzchnie pokrycie kapotki, podszytej kolorową materyą. Riusza idąca przy twarzy przepięta jest różanemi pączkami, kokardy i końce z wstążki w kolorze podszewki.

N. 25—26. Ubranie małej dziewczynki. Krój staniczka podług ryc. 33 w N-rze 10.

Spódniczka z tyłu 49, z przodu 47 cent. długa, składa



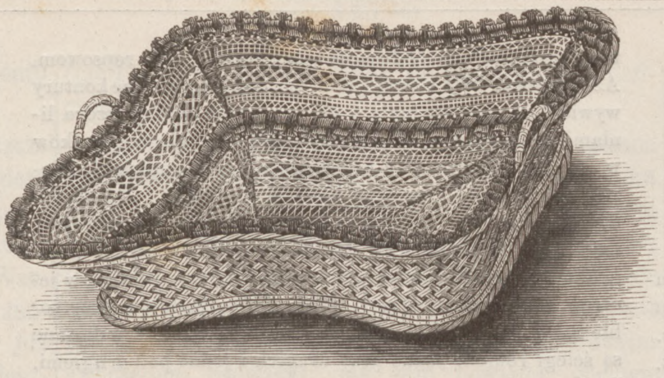
N. 1—2. Ubrania spacerowe.
N. 1. Suknia z paletotem. N. 2. Suknia z vêtement.

się ze ściętego z brzegów przedniego bryta, szerokiego u dołu 41 w górze 21 cent., z dwóch bocznych klinów po 30 cent. u dołu a po 10 u góry szerokich i z prostego tylnego bryta 60 cent. szerokiego. Fartuszkowa tuniczka liczy z tyłu 60 z przodu 30 cent. długości a 150 cent. szerokości dolnej; tylne brzegi podszywają się na 8 cent. szerokości brązową materyą, a na 6 cent. odstępu od góry przemarszczają się dwoma rzędami przez co długości tylna skraca się do 28 cent. Tunika zamiast kokard lub szarfy przesznurowana jest jedwabnemi sznurami po 52 cent. długiemi, z kwaścikami na końcach.

Staniczek dopasowany podług powyżej wskazanego kroju, zapina się z tyłu na guziki. Sukieneczka ta odszyta z brązowego materyału przyozdobiona jest jedwabnemi pliskami lub taśmą ciemniejszego koloru.

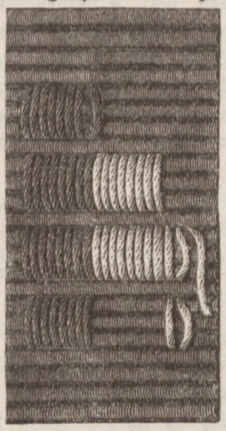


N. 4. Fartuszek oszyty ząbkami z tasiemeczki. Patrz ryc. 22.

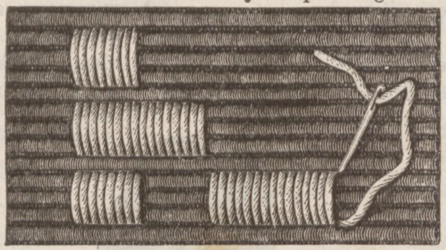


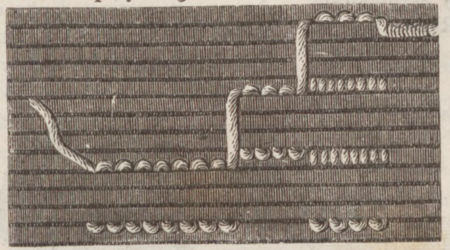
N. 3. Kosz na drobiazgi lub negliżyki. Patrz ryc. 13.





N. 7–8. Ścieg szwedzki gobelinowy do ryc. 6. N. 7, Ściegi wyszywane jedne pod drugiemi. N. 8. Ściegi wyszyte jeden przy drugim.





N. 9—10. Ścieg szwedzki gobelinowy do ryc. 6. N. 9. Zwierzchnia strona. N. 10. Spodnia strona ściegu.



N. 5. Fartuszek z plisowaniem.

N. 27. Uczesanie wieczorowe.

Przednie włosy odczesane są w górę na lekkich krepinach, a końce ich wraz z resztą włosów układają się w dwa pukle dane poprzecznie jeden nad drugim. Po wyżej wpięty wysoki szyldkretowy grzebień, na którym wspiera się z przodu gałązka kwiatów.

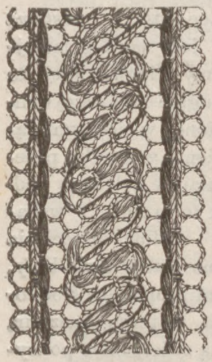
N. 28. Stanik otwarty podłużnie.

Stanik z baskiną otwarty podłużnie i zapinany z tyłu na guziki ozdobiony jest wzdłuż wykroju plisowaniem, które przy sukniach wełnianych najładniej odbija ułożone z materyi. Rękawy z naśladowanem z wierzchu zapięciem są także plisowaniem ozdobione.

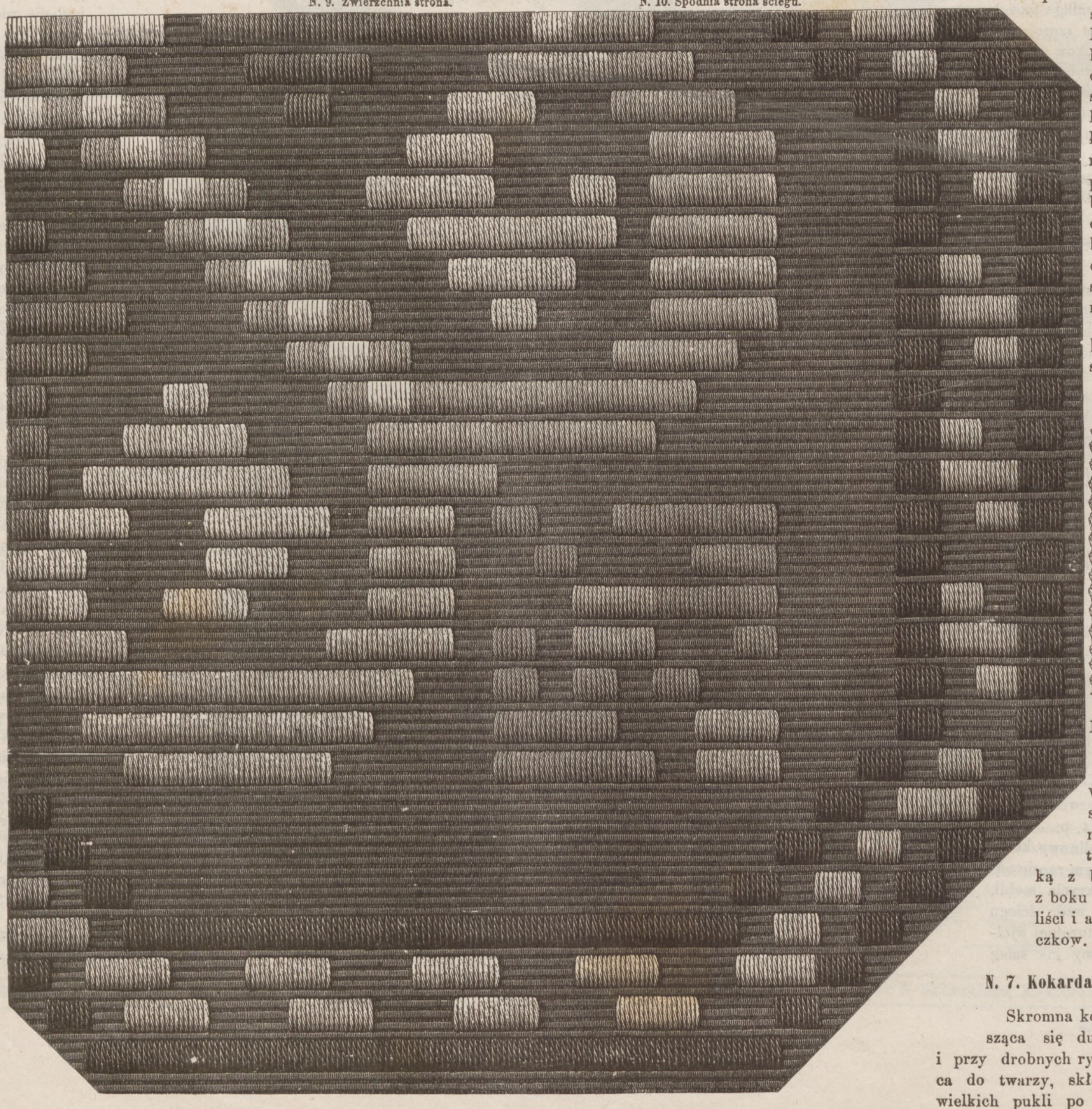
N. 29. Stanik z półdługiemi rękawami.

Ten rodzaj przybrania stanika odpowiedni do teatru lub na koncert składa się z szerokiego skosu muślinu, tiulu albo crêpe lisse, oszytego z brzegów koronką, z tyłu zebranego pod kokardą a z przodu rozłożonego szalowo wzdłuż wykroju. Półdługie rękawy dopełnione są plisowaną bufą po nad którą namarszczona szeroka koronka, odwinięta w górę i przepięta kokardą. Przyszycie koronki zasłania szeroka aksamitka.

Na głowie opaska z wstążki lub aksamitki i różą; na szyi medaljon na aksamitce.



N. 11. Wywodzenie na tiulu.



N. 6. Ścieg szwedzki gobelinowy na repsie meblowym. Patrz ryc. 7—10.

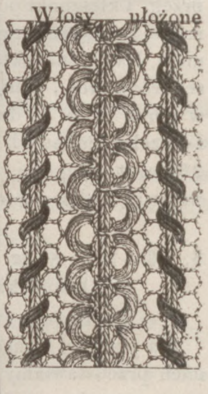
Opis do N. 13.

N. 1—5. i ryc. 31—32. Modne biżuterye.

Aby czytelniczkom dać poznać zmianę zaszłą w kształtach i wykończeniu różnych złotych ozdób przedstawiamy im na kilku rycinach wzory modnych biżuteryi. Rycina 1 załącza medaljon w którym zielonej barwy; odmiana na tle ze świecącego złota ułożona arabeska z pereł, brylantów i chryzoprazów (kamień przeświecający, rozmaitych odcieni na chalcedonu). Do zawieszenia zamiast łańcuszka dana gładka obrączka. Rycina 2 i 3 przedstawia broszę i zapinkę do mankieta odrobione z matowego złota; przepięcia zwierzchnie dane robotą ażurową. Na ryc. 4 widzimy złoty łańcuch na szyję, z krótkim spuszczonym kawałeczkiem łańcuszka do zawieszenia medaljonu. Kółeczko zapinające łańcuch i drugie niższe do medaljonu są zamykane na nowy sposób: w dęte, niezupełnie dochodzące się kółeczko wsunięte jest ruchome półkole, które zasuwa lub odsłania otwór a porusza się za pomocą wystającego czpienka. Dwie bransoletki jakie widzimy w pudełeczku na ryc. 5, składają się z wązkich obrączek w połowie ażurowo wyrabianych i znanych pod nazwą „porte bonheur.“ Noszą się obie na jednej ręce lub oddzielnie. Rycina 31—32 przedstawia naszyjnik z matowego złota.

N. 6. Uczesanie z aksamitną przepaską i gałązką złotą.

Włosy ułożone w pukle i loki spuszczone po za ramiona; opaska aksamitna ze złotą torsadką z brzegów przepięta z boku gałązką ze złotych liści i atłasowych kwiateczków.

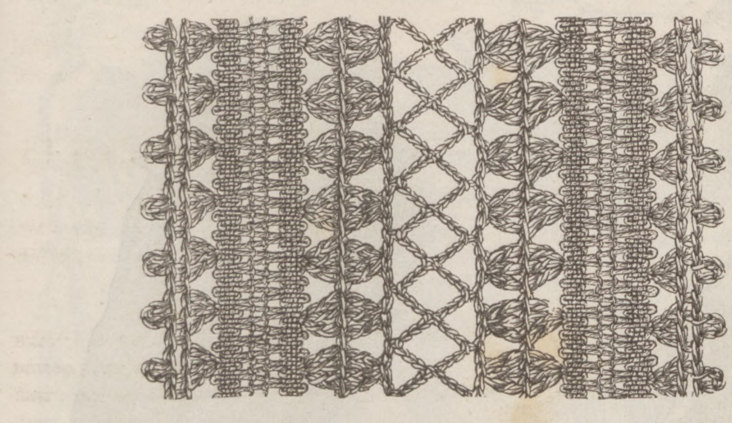


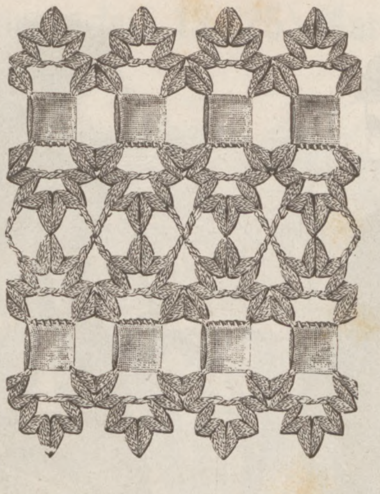
N. 12. Wywodzenie na tiulu.

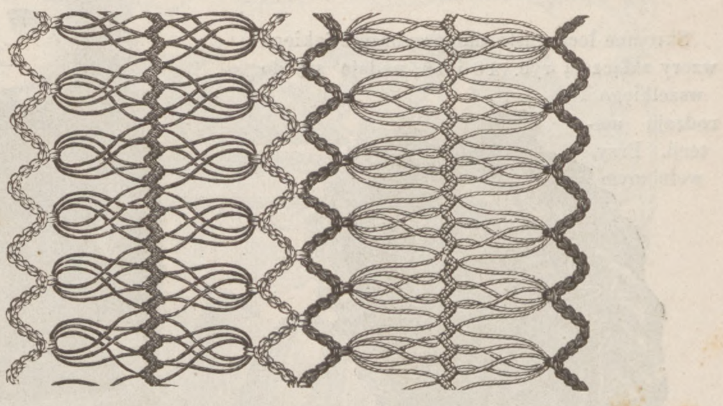
N. 7. Kokarda alzacka na głowę.

Skromna kokarda alzacka ciesząca się dużem powodzeniem i przy drobnych rysach ładnie pasująca do twarzy, składa się z czterech wielkich pukli po 11 cent. długich,

z wstążki repsowej 8 cent. szerokiej, przyszytych na podstawie ze sztywnego tiulu. Dwa pukle rozkładają się na boki, a dwa wznoszą prawie prosto w górę i są wązko ściśnięte węzłem środkowym. Kokarda przypina się do włosów lub przywiązuje wązkiemi końcami.


N. 13. Pas do koszyczka ryc. 3. Robota szydełkowa z torsadką.

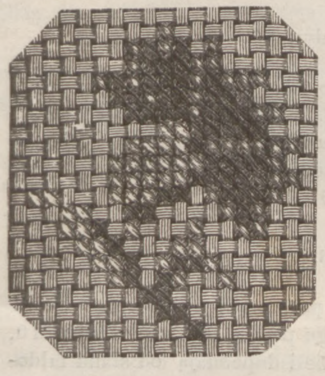

N. 18. Wszywka z kwadracików i tasiemeczki w ząbki.


N. 14. Paski torsadki złączone robotą szydełkową do czepeczka ryc. 24. Patrz ryc. 15.

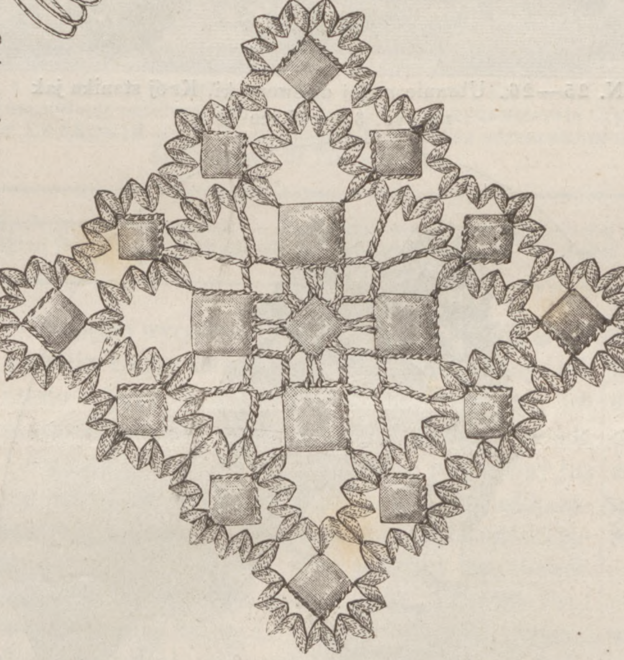

N. 15. Robota torsadki z długiemi pikotami. do ryc. 14 i 24.

N. 8. Paletot dolmanowy.

Krój paletota dopasować można podług formy okrycia podanego w N-rze 10 na ryc. 3—4 z tą różnicą iż paletot przedstawiony dziś na ryc. 8 kraje się więcej obcisły, z dłuższemi przodami i przydłużonemi rękawami; naszycie przybrania jest także więcej dolmanowe. Model załączony na ryc. 3, odszyty z czarnego materyjału liczy 85 cent. przedniej a 62 tylnej długości, szerokość dolna 177 cent. wynosi.


N. 16. Wyszycie na kanwie panama.

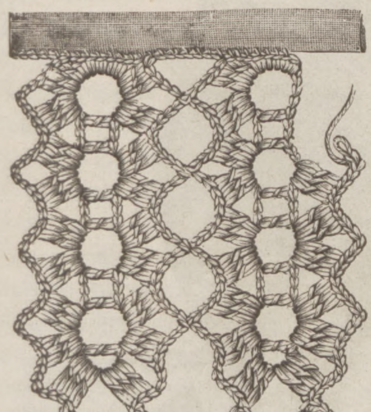
Niezmiernie modne i bogate przybranie stanowi frendzla z jedwabnej fryzowanej tasiemeczki, naśladująca oszycie z piór, z pod niej wysuwa się frendzla kwaścikowa 8 cent. szeroka. Naszycie z taśmy jedwabnej 10 cent. szerokiej dane z przodu na ramionach, przechodzi wzdłuż pleców na $3\frac{1}{2}$ cent. odstępu w pasie a na 13 cent. u dołu. Kokardy z wstążki repsowej 6 cent. szerokiej.


N. 19. Kwadracik odpowiedni do wszywki ryc. 18.

N. 9. Krótki paletocik.

Odszyty z lekkiego piaskowego velours z podszewką z brązowego klothu, formą luźnego kaftanika (patrz rycina 20—21 w N-rze 44 roku przeszłego.) Przybranie stanowi 6 cent. szeroka wełniana brązowa pletnia, frendzla z kulek i guziki szmuklerskie przy których są naszyte pentelki z węższej tasiemki.

N. 10. Ubranko na głowę.


N. 20. Ząbki szydełkowe.

Upięte jest na 3 cent szerokim pasku sztywnego tiulu, i składa się z barbki koronkowej czarnej, takiejże aksamitki i srebrnej pleciońki $3\frac{1}{2}$ cent. szerokiej. Układ kokardy wskazuje ryc. 10.

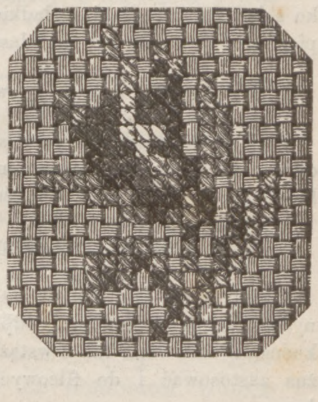

N. 21. Kwadrat szydełkowy do kołder i t. p.

N. 11—12. Kreza z kokardą.

Rycina 12 załącza w naturalnej wielkości próbkę koronki irlandzkiej odszytej z tasiemeczki gładkiej i medaljonowej na tle tiulowem, stanowiącej zakończenie przy wachlarzowym końcu kokard. Ząbki brzeżne jakie widzimy przy ryc. 12, dane dwoma rzędami zwróconemi do siebie, stanowią krezę, którą można również ułożyć z gładkiego tiulu. Na wachlarzowy koniec potrzeba trójkąta tiulowego, liczącego z prostych brzegów po 23 a ze skośnej strony 33 cent.; przyszycie koronki zasłania pasek gładkiej tasiemeczki koronkowej. Kolorowa repsowa wstążka opasuje krezę i tworzy kokardę.

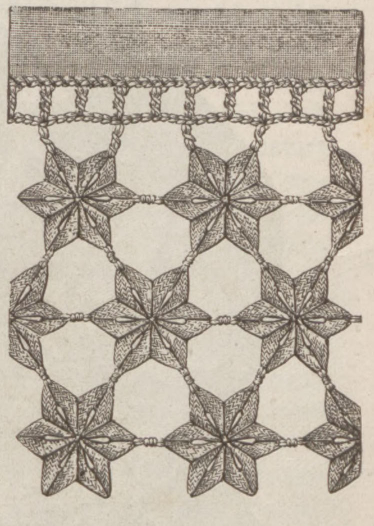
N. 13. Torebka do robót. Patrz ryc. 16—17 w N-rze 12. Haft na kanwie panama.

Liczy 30 cent. długości a 25 szerokości i jest zszytą z pasków roboty krzyżowej po 6 cent. szerokich i z bufek atłasowych. Robota krzyżowa wykończa się na kolorowej kanwie panama podług wzorów ryciny 16—17 w przeszłym N-rze. Dla sztywności dodane są ścianki tekturowe pokryte materyą; zeszycie bufek z pasami, brzegi torebki i uszy doujęcia zdobi riusza z wstążki 4 cent. szerokiej. Suflety boczne łączące ścianki są z nadmarszczonego atłasu.


N. 17. Wyszycie na kanwie panama.

N. 14—16. Krawatki tiulowe. Patrz ryc. 11—12 w Nr 12.

Najmodniejsze i bardzo wchodzące w użycie krawatki są z grozbotowego tiulu, koloru crême, który obecnie używa wielkiego powodzenia i rozpowszechnia się w rozmaitych materyałach. Łatwe i pośpieszne wywodzenie dopełnione kolorową filozelą podług ryc. 15 do krawatki rycina 14, a do krawatki ryc. 16 odpowiednie wzory załączyliśmy w N-rze 12. Do oszycia brzegów wyciętych w zęby użyte są fabryczne pikoty.


N. 22. Oszycie do fartuszka ryc. 4.

N. 17. Mankiet z czarnej materji.

Wymaga kawałka materji 10 cent. szerokiego a 32 długiego, który na środku mankieta założony jest w 8 drobnych przestębnowanych fałdek. Podszewkę stanowi fular podłożony żagnotem albo papierem dla sztywności; brzegi w około ostębnowane są skośną pliską i oszyte nad-

marszczoną koronką. Na środku plisowania dana kokarda.

N. 18—19. Rękawy do sukien.

Skromne lecz gustowne przybranie jakiego wzory załączają ryc. 18 i 19, nadaje się do wszelkiego rodzaju materji. Przy wełnianym



N. 23. Kapotka dla małej dziewczynki.

materjale najładniej odbija jedwabne plisowanie drobniutko składane. Na pliski i gładkie klapy lub wykłady najlepiej użyć aksamitu lub matelassé.

N. 20. Patarafka dająca się zwijać. Robota nakrapiana.

Z cienkich deseczek drewnianych, dających się zwijać, odrobiona patarafka, ozdobiona jest robotą nakrapianą, której szczegółowy opis podaliśmy w N-rze 7.

N. 21. Kapelusz z wygiętem z przodu rondkiem.

Podajemy tu dwa modele pierwszych kapeluszy wiosennych z bastu lub słomki, odpowiednie także do wiązania końcami tiulowemi lub z wstążki. Takież przybranie można zastosować i do filcowych czy aksamitnych kapeluszy.

Rycina 21 przedstawia model z czarnego bastu z płaskim rondem 6 cent. szerokiem, wygiętem z przodu i podszytem od spodu repsem czarnym w drobne fałdki ułożonym. Kokarda z wstążki 7 cent. szerokiej, przepięta metalową agrafką przyczepiona jest w zagłębieniu rondka; od niej przechodzą dwa końce wierzchem główki, spadające z tyłu w dwóch puklach i długich końcach i przepięte gałązką róży. Dwa strusie pióra poważnie dopełniają przybrania.



N. 25—26. Ubranie małej dziewczynki. Krój stanika jak na ryc. 33 w N-rze 10.



N. 27. Uczesanie wieczorowe.



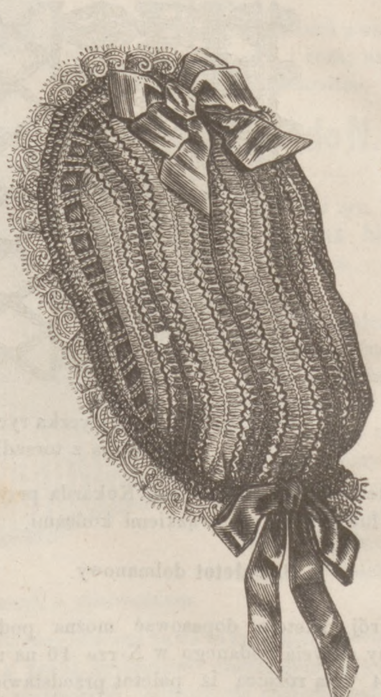
N. 28. Stanik otwarty podłużnie zdobny plisowaniem.

N. 37. Kapelusz z czarnej słomki.

Brzeg kapelusza 6 cent. szeroki podniesiony z przodu po nad czołem i podpięty węzłem z ponsowego repsu, który przytrzymuje gałązkę róży białej i parę pukli. Przybranie główki 6 cent. wysokiej składa koronka crême, skrzydełko czarne i gustowne kokardy z wstążki czarnej, których układ wskazuje ryc. 22.

N. 23—24. Portjera lub firanka zdobna haftem szwedzkim gobelinowym.

W-Nrze 12 opisaliśmy szczegółowo nowy rodzaj ściegu szwedzkiego gobelinowego; ryc. 6 w powyższym N-rze przedstawiała czwartą część arabeski, zdobiącej lambrekinę portjery, dziś zaś na ryc. 24 załączamy desenik szlaku. Na tle repsu ponsowo-brązowego koloru ślicznie odbija szlak wyszyty trzema dobrze od tła rożniącemi



N. 24. Czepeczek ranny z torsadki na widełkach i roboty szydełkowej. Patrz ryc. 14—15.

się cieniami tego samego koloru.

N. 25. Tło i szlak na dywanik robotą krzyżową.

Dawna lecz praktyczna zasada uczy aby szlaki zaczynać od rogów w takim razie łatwo na środku boków dopasować deseń. Środek tła przeciwnie powinien być najpierw obliczony i robiony do brzegów. Znaki objaśniające kolory podane są pod ryciną 25.

N. 26—27. Ubranie małej dziewczynki.

Przody i boki sukienki przedstawionej na ryc. 26—27 są krajane w jednym ciągu podług ryc. 19 w N-rze 10, plecy zaś krają się oddzielnie i dopełniają od stanu fałdowaną częścią spódniczkową. Garnirunek składa się z plisowania 6 cent. szerokiego, ułożonego z materyału sukni lub tak jak pasek i kokardy z materyi.



N. 29. Stanik z półdługiemi rękawami.